Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmnje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V Niedziela, dnia 12 września 1937 r. Nr. 37



Za tobą jeno tęsknię...

Za Tobą jeno tęsknię,
Ku Tobie serce się rwie...
O Tobie wiecznie marzę, śnię...
I czemu?... nie wiem sam...
W sercu Twój obraz mam,
I ten uśmiech... Ach! tak dobrze znam...

Pamięć ta szczęścia złota,
W ramiona swoje mnie bierze...
Tuli... choć już jej nie wierzę!...
Jeno za Tobą wciąż tęsknię...
O Tobie wciąż marzę... śnię...
I nad życie „Kocham Cię"!!!...

Tadeusz Chojnacki.

MARIA REUTT

Ktoś ty?

5)

Powieść o burzach życia

Chłopak kredensowy, w płóciennym ubraniu, boso, zdjął kuferek i ręczną walizkę z bryczki i poniósł w głąb mieszkania.

— Pani chciałaby prawdopodobnie odświeżyć się przed kolacją — zauważyła pani domu i zwracając się do dziewczynek dodała — pokażcie pani jej pokoik.

Jak dwie frygi zakręciły się dziewczynki po ganku. Myśka chwyciła Dankę za rękę:

— Chodźmy.

Chłodnym korytarzem prowadziły ją do jej pokoiku na końcu dworu. Mały, skromnie umeblowany, uderzał przyjemnie oko czystością i prostotą. Łóżko żelazne, stolik, szafka, umywalka, krzesełko, komódka — oto wszystko. Lecz pokoik, choć ubogi, był jednocześnie miły.

— Obok, tutaj, nasz pokój — oznajmiły otwierając drzwi do dużego, ładnego pokoju, umeblowanego na biało.

Białe łóżeczka, biała szafka, białe stoliki i półeczki.

Ta sama czystość i surowa prostota.

Gdy dziewczynki wybiegły, usiadła na łóżku i ścisnęła skronie dłońmi: żeby tylko podołać swoim obowiązkom, zżyć się z otoczeniem i zapomnieć choć trochę o tej zmorze przeżyć, tam za kordonem! Och, gdyby można było wyrzucić z pamięci ohydne obrazy i ból z duszy, uciszyć bicie serca...

* * *

Przy kolacji panna Ludka przyglądała się jej bacznie w milczeniu, a student próbował nawiązać rozmowę o Warszawie, ale zbywała go monosylabami.

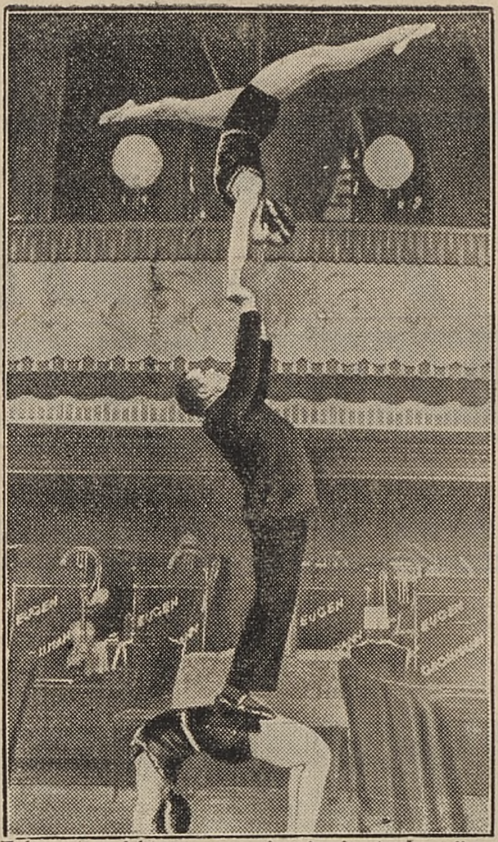
Okropne wspomnienia z bolszewii pozostawiły jej lęk przed mężczyznami, nieufność do nich, niechęć do zawierania jakiejkolwiek z nimi znajomości. Odpowiadała za to chętnie dziewczynkom na ich paplaninę: Czy bardzo lubi chodzić na spacer? czy wstaje wcześnie? czy umie pływać? — i tych „czy" było tak dużo, że ledwo nadążyła z odpowiedzią.

— Zostawcie panią w spokoju — wdał się ojciec.

Uśmiechnęła się łagodnie.

— Niech pan im pozwoli mówić... Powinnam poznać jak najprędzej ich skłonności, gusta i upodobania — zwróciła się do pana domu.

— Obowiązki pani do września polegać będą tylko na udzielaniu dziewczynkom lekcyj muzyki i konwersacji francuskiej — pośpieszyła z wyjaśnieniem pani Ciemierzewska. — Teraz są wakacje, trzeba, ażeby i dziewczynki odpoczęły.



Taką oto efektowną, a niezmiernie trudną figurą akrobatyczną popisuje się trójka akrobatów berlińskich.

— Będzie pani miała dużo wolnego czasu przez lato — odezwała się milcząca dotąd panna Ludka.

— Właściwie wolałabym nie mieć go — odparła uprzejmie, spoglądając po raz pierwszy od kolacji na dość nachmurzoną pannę. — Mam też nadzieję, że dziewczynki zapełnią mi ten czas i że będziemy z nimi razem żyć życiem wsi...

Dziewczynki były uszczęśliwione przyjazdem młodej nauczycielki. Poprzedniczka jej, osoba starsza zgorzkniała, odbywała z niemi tylko lekcje i to nacechowane przymusem. To też Danka stanowiła dla nich miłą odmianę.

Zaraz po śniadaniu dziewczynki zaprowadziły Dankę na podwórze. Myśka zaprezentowała swoją klaczkę Perełkę, przejeżdżając się na niej koło gazonu i po podwórzu, Józia przedstawiła Myzia, który początkowo obwąchał ją nieufnie i dopiero potem mokrym pyskiem stuknął w rękę.

— Pocałował panią, to znaczy, że podobała mu się pani... Chociaż — dodała w zamyśleniu — on i pannę Eugenię bardzo lubił i kiedy wychodziła na spacer sama bez nas, towarzyszył jej.

Pokazały jej króliki, owce, staw i plac tenisowy.

Zdziwiły się, że nie grała.

— Wszyscy teraz grają, nawet Kazia pana Zawadki, naszego ekonoma, przychodzi się uczyć. I panią nauczymy. Teraz, kiedy jest pan Leon, to nas starsi rzalko dopuszczają do swojej gry, więc i my będziemy mieli teraz swoją partję.

TAJEMNICZY GOŚĆ

Życie w Ciemierzowie ułożyło się jej zupełnie przyjemnie. Rano odbywała z dziewczynkami lekcje muzyki, potem grała z nimi na cztery ręce. Popołudniu czytały powiastki francuskie, chodziły na spacery.

Zaprzyjaźniły się z nią bardzo. Nie uciekały od nauki, bo prócz gam i wprawek, grywały łatwe kawałki i lekkie melodie do tańca. Francuskie powiastki, objaśniane przez nauczycielkę, zajmowały je bardzo i nieraz przy podwieczorku z ożywieniem opowiadały rodzicom przeczytane hitoryjki.

Przed obiadem uczyły ją gry w tenisa, a po obiedzie woziła je łódką po stawie.

W tydzień po przyjeździe do Ciemierzowa, gdy wracała ze stawu z dziewczynkami, zauważyła z daleka ożywienie panujące przy stole pod lipą, gdzie nakryte było do podwieczorku.

Panna Ludka w jasnej różowej sukni śmiała się dźwięcznie, radośnie, zalotnie przechylając ufryzowaną główkę, w stronę obcego mężczyzny, siedzącego obok niej.

— Stryjek! — pisnęły obydwie dziewczynki i puściły się pędem w stronę lipy.

Z za stołu powstał wysoki, szczupły mężczyzna i objął obydwie serdecznie ramionami.

Danka szła powoli, nie spiesząc się. Nie pomyślała jak wygląda — czy skromna kremowa w liljowe groszki perkalikowa sukienka nie jest zbytnio pomięta siedzeniem w łódce... Machinalnie poprawiła tylko opadające na czoło włosy, i zbliżyła się do stołu.

— Brat mego męża... panna Ochorska — przedstawiła pani domu.

Odkłoniła się zdaleka na jego uprzejmy ukłon i zajęła swoje miejsce na końcu stołu.

Dopiero z nad filiżanki zimnego mleka spojrzała na gościa.

Jaki przystojny... — przemknęło jej mimowoli przez myśl.

Rozmawiał z Ludką i bratanicami na przemian, przekomarzając się i żartując.

— Stryjku, co nam stryjcio przywiózł? — dopominały się dziewczynki.

— Z Budapesztu zabawki, z Krakowa książki...

Poderwały się z miejsca.

— A gdzie to wszystko stryjaszku?

— U mnie w Obidowie, przyjedźcie, to dostaniecie...

— Przyjedziemy — obiecywały — przyjedziemy jutro z panną Danką.

Na dźwięk tego imienia podniósł na nią oczy. Zetknęli się wzrokiem. Jego szare źrenice zatrzymały się na niej dłużej, chłodne, badawcze.

Jakie dziwnie znajome, niepokojące spojrzenie — wzdrygnęła się.

Nie spuściła powiek, nie odwróciła oczu jak zahypnotyzowana.

— Oryginalne pani ma imię — przemówił.

— Bardzo zwykłe, spieszczenie od Danuty — przezwała mnie tak mama i przylgnęło ono do mnie. Nawet w szkole nauczycielki tak mnie

nazywały — tłumaczyła jakby z przymusem.

— Stryjaszku, a gdybyśmy dziś jeszcze wybrali się po te prezenty z panną Danką? — dopraszały się.

— Cóż wy znowu, stryj dopiero co przyjechał, nie puścimy go przed nocą! — zaprotestowali rodzice.

Widząc ich zawód, wmieszał się stryj:

— Przyjedziecie z panną Ludką i panną Danką jutro na podwieczorek — a może i pan Leon będzie wam towarzyszył. Obejrzycie sobie wszystko, wybierzecie, co wam się podobać będzie i po zachodzie słońca wrócicie do domu.

— Tatuś da linijkę i Kotkę, a pan Leon nas powiezie — zadecydowały bliźniaczki.

— Konia i linijkę dostaniecie — zgodził się pan Ciemierzewski — zawiezie was jednak Walek, zamiast pana Leona. Tak będzie bezpieczniej.

* * *

Zaraz po podwieczorku Danka poszła do siebie.

Nie chciała przeszkadzać rodzinnej pogawędce i męczyły ją oczy mężczyzny, takie obce, a takie znajome....

Z okna widziała jak szli na plac tenisowy, jak panna Ludka, idąc obok gościa, raz po raz zalotnie przechylała główkę ku niemu. Jej śmiech dźwięczny, srebrzysty, dochodził aż do niej.

Z drugiej strony dreptały dziewczynki, trzymając go obie za ręce. Student szedł na końcu ze spuszczoną głową.

Nie podobał jej się ten ostatni. Wydawał jej się pretensjonalny, nienaturalny, i zbyt nadskakująco-pokorny.

Przyszedł jej na myśl ów student z Mińska — natarczywy, zaborczy, również nadskakujący...

Szarpnęła nią złość: Czyż nigdy nie odejdą ode mnie te ohydne wspomnienia i wlec się będą jak zmory za mym życiem?

Oparła się o framugę i rozpłakała, tak ją rozstroiły te oczy.

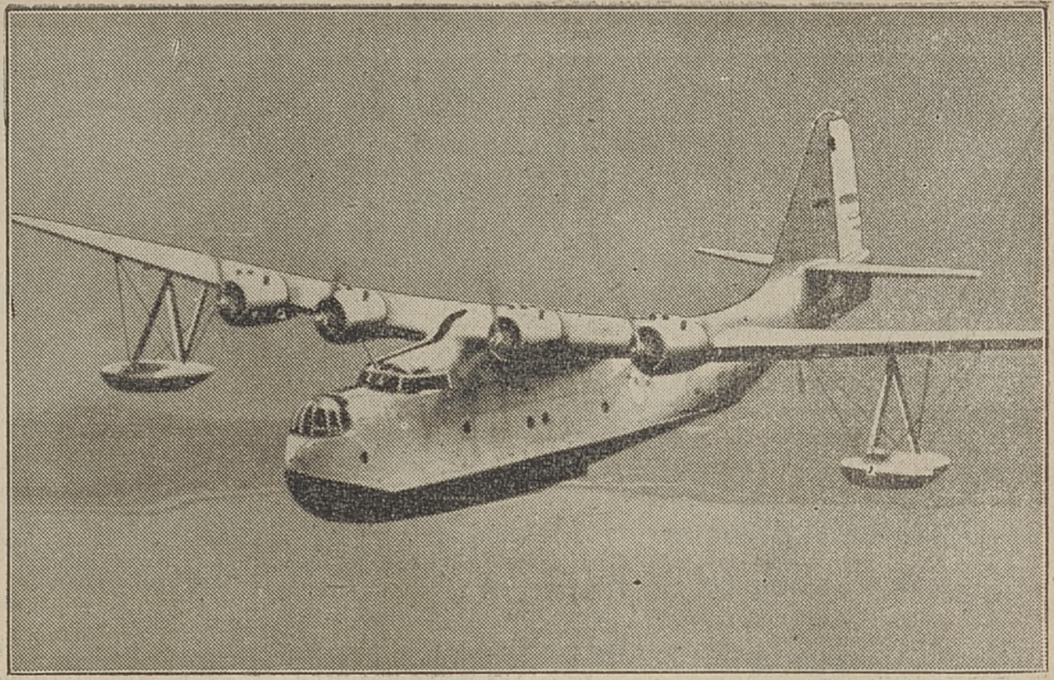
Słyszała, że są ludzie, którzy tracą pamięć. Dlaczego ona tej pamięci nie straciła i wspomnienia idą wciąż za nią, torturując, zabijając każdy promyk spokoju, każdy odruch żywiołowej radości?...

— Panno Danko! — zawołały dziewczynki z ogrodu.

Otarła prędko łzy, zapudrowała twarz i wychyliła się przez okno, pod którym tupały już wiecznie ruchliwe nóżki.

— Chodźmy do lasu, wyrzucili nas z tenisu, bo jest akurat czworo do gry: ciotka Ludka, stryjcio, mama i pan Leon. Nie mamy co tam robić. Chodźmy prosiły.

Wyszły przez podwórze, skręciły za stodołą na prawo polem do lasu. Pobiegł za nimi Mizio i mała suczka foxterierka.



Rząd Stanów Zjednoczonych polecił zbudować szereg samolotów bombardujących, które otrzymały nazwę „latających pancerników". Na zdjęciu jeden z samolotów tej serii.

Las dyszał wilgocią, chłodem, ciszą i spokojem. — Spokój ten uciszył rozbolałe serce dziewczyny.

PRZEKLEŃSTWO WSPOMNIEŃ.

Wróciły o zachodzie słońca, zmęczone, ale zadowolone. Pana Ciemierzewskiego z Obidówki nie było już. Pani domu i panna Ludka siedziały na ganku, wyciągnięte w fotelach trzcinowych, a przy nich na stopniach usiadł student.

Z otwartego pokoju kancelarii dochodził tubalny głos pana domu, wydającego rozkazy.

— Gdzie pani chodziła? — spytała pani Ciemierzewska, podsuwając jej pusty, stojący poza nią fotel.

— Dziewczynki prosiły, ażeby iść z nimi do lasu — odpowiedziała siadając.

— A tak, mamuśku — potwierdziły — nie chcieliście nas przy tenisie, więc zamiast przyglądać się wam, wolałyśmy spacer z panną Danką, Myziem i Fajką.

Pani Ciemierzewska wstała:

— Muszę zobaczyć, co słychać z kolacją. Tomasz tak marudzi dziś...

Odeszła, zabierając ze sobą córki.

— Jak się pani podobał Andrzej? — zagadnęła ją panna Ludka, patrząc rozmarzonymi oczami w przestrzeń.

— Owszem, przystojny i musi być dobry — potwierdziła obojętnie.

Na słowa te, tak spokojne i obojętne, student odwrócił się twarzą do dziewcząt i błysnął złośliwie oczyma.

— Pani nie interesuje się młodymi ludźmi?

Odpowiedziała spokojnie:

— Obiektywnie — owszem, ale subiektywnie — nie...

— Czy panią tak zrazili mężczyźni, czy też niechęć ta datuje się od urodzenia? — ożywiła się panna Ludka.

— Gdyby pani tak jak ja, przyglądała się przez lat parę tej bestii ludzkiej, którą zwą mężczyzną, to i pani zraziłaby się również do całego rodu męskiego...

— Nie może pani miarą bolszewików sądzić Polaków — ujął się za swoją płcią pan Leon.

Odpowiedziała wzgardliwie:

— I oni również są mężczyznami: byli zacnymi synami, braćmi, kolegami — dopóki w nich zapach krwi nie obudził drzemiącego zwierzęcia. Mimo to na swój sposób są oni prawdopodobnie kochającymi ojcami, mężami i kochankami i wracając z biur lub czerezwyczajek po podpisaniu setek wyroków, po napatrzeniu się i nasłuchaniu mąk i jęków ofiar, po obmyśleniu nowych środków tortur, po napisaniu krwiożerczych mów, czulili się do swoich kobiet łagodni, kochający, pełni oddania... Skąd można mieć pewność, że my bylibyśmy lepsi w podobnych warunkach? Przecież o Moskalach mówiło się zawsze w Polsce, że są to bardzo dobroduszni ludzie, o miękkim sercu. A Dzierżyński, szef czerezwyczajki, przecież jest Polakiem z urodzenia i pochodzenia...

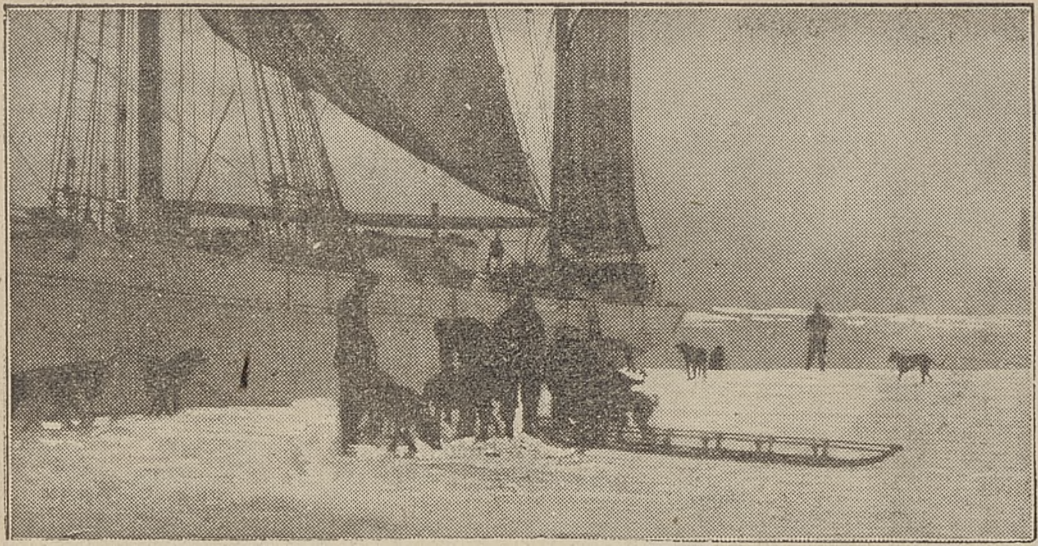
— O ale nie mogę sobie nawet wyobrazić pana, tu Danka uśmiechnęła się nagle do studenta przekornie, a zarazem zniewalająco — jako szefa czerezwyczajki...

Student spłonął rumieńcem pomięszania, panna Ludka zaśmiała się. Podniecenie jej znikło.

— No widzi pani.... — zauważyła.

— Ale to nie wyklucza wcale, że pan Leon mógłby okrucieństwem prześcignąć Dzierżyńskiego, którego twarz wcale nie wykazuje tych cech krwiożerczych, jakimi się odznacza. Podobno lubi bardzo śpiew, muzykę, szczególniej kościelną, jest znawcą malarstwa, czyta sentymentalnych autorów.

— Widzę, że pani naprawdę jest nieprzyjaciółką naszej biednej brzyd-



Jeden z norweskich okrętów odkrył na Spitzbergu szczątki obozowiska niemieckiej wyprawy polarnej, która zaginęła w roku 1912. Zdjęcie nasze — z roku 1912 — przedstawia okręt tej wyprawy.

kiej płci — zażartował student, opanowawszy swoje pomieszanie.

— W stosunku do siebie — tak.

— Kolacja... — oznajmiła Józia, z buzią napchaną jakimś ciastem.

Wstali. Panna Ludka, rozpogodzona, jakby jej jakiś ciężar spadł z piersi, wzięła ją pod rękę. Dankę, onieśmieliła ta poufałość. Panna Ludka okazywała jej dotąd niechęć i słowami i czynami odsuwała się od niej, dawała odczuć jej zależne stanowisko w Ciemierzycach jako nauczycielki.

NIESPODZIANKI WYJAZDU.

Nazajutrz dziewczynki ledwo się mogły doczekać godziny wyjazdu. Już od południa biegały od okna do zegara i na powrót, aż wreszcie, ku ich radości, zajechała pod dom dobrze utrzymana klacz, zaprzężona do linijki.

Dziewczynki w białych muślinowych sukienkach z ogromnymi, niby motyle, kokardami, we włosach, usiadły pierwsze i bliskie prawie płaczu z podniecenia i oczekiwania na starszych, kręciły się niespokojnie, spoglądając ciągle na drzwi. Wreszcie na ganku zebrały się obydwie panny i pan Leon w palcie płóciennym pana domu. Obok dziewczynek usiadła Danka w czerwonej markizetowej sukience w czarne gwiazdki. Jedwabne pończochy, lakierki i pukle włosów zręcznie ułożonych nad uszami, dodawały uroku jej i tak zgrabnej sylwetce.

Pan Leon i Ludka w bardzo pięknej i wytwornej liliowej fularowej sukience, siedli po drugiej stronie.

....Ubrała się dla niego — pomyślał student, patrząc na strojną sukienkę panny — bo to partia — dziedzic, polityk — a ja co! Ubogi student politechniki warszawskiej... — Tu obejrzał się na Dankę — i tą ładna, ale zimna, nieprzystępna, jakby chęć życia z niej uszła. Daleko jej do błyszczącej urody Ludki i do jej uroku i werwy życiowej.

Przejeżdżali koło „Macierzanki", pałacu hrabiego Bagrowcewa. Przez szeroko otwartą bramę widać było żwirem wysypany podjazd i imponujący fronton pałacu. Przed gankiem stajenny trzymał osiodłanego konia, na stopniach rozmawiało dwóch panów.

— To chyba hrabia Bagrowcew — domyślały się dziewczynki.

— Ładna rezydencja — zauważyła panna Ludka.

Dance przypomniała się willa Szyszkina o marmurowych schodach i kolumnach. Cień przykrości przeszedł przez jej twarz, usta zacisnęły się lekko.

Znów te okropne wspomnienia!

Nie odpowiedziała na uwagę panny Ludki i ta zdziwiona obejrzała się na Dankę.

Spod małego kapelusika wychylał się profil jak z kamei i złocistobrązowe włosy.

Jaka ona ładna! — przeniknęło jej zazdrośnie przez myśl.

Zatrzymała furmana i zwróciła się do nauczycielki;

— Wie pani, ponieważ ja jadę, to obecność pani w Obidówce jest zupełnie zbędna, a w kawalerskim gospodarstwie nawet jedna osoba robi różnicę.

Danka natychmiast zeskoczyła.

— To ja wrócę polami do domu.

Dziewczynki podniosły gwałt.

— Pani obiecała jechać!

Pogłaskała je.

— Naprawdę, dziecinki ja wolę samotny spacer po polu, niż wizytę w Obidówce.

Jeszcze chwila protestów ze strony dziewczynek i konie ruszyły naprzód.

* * *

Danka z tyłu poza sobą miała pałac Bagrowcewych, przed sobą las i przytulony do niego biały, drewniany dworek Ustronia, ginący w powodzi kwiatów i bluszczu.

Skierowała się w tę stronę.

Dworek ten przyciągał ją nieprzeparcie. Chciała podejść bliżej, popatrzeć na jego rabaty kwiatów.

Szła przez pola na przełaj i wkrótce stanęła u ogrodzenia.

Dworek z bliska wydał jej się jeszcze ładniejszy. Miał, zamiast ganku, werandę, biegnącą dokoła domu całą obrośniętą dzikim winem i pnącymi różami. Przed domkiem rosły całe grządki bratków, goździków, lewkonii, parę krzaków różkwitło w rogach werandy.

Takby chciała wejść i posiedzieć w tej ciszy, wśród tych kwiatów... Ale czyż mogła nieznana wejść do cudzego ogrodu z jedyną rekomendacją, że ją zachwycił?...

Oparta o sztachety, drgnęła gwałtownie, usłyszawszy pytanie:

— Czy pani chciała zobaczyć się ze mną?

Podniosła oczy.

Przed nią stała wysoka, szczupła pani o siwiejących ciemnych włosach i oczach czarnych, wpadniętych głęboko.

Zaczerwieniła się zaskoczona. Odpowiedziała, zacinając się trochę ze zmieszania:

— Jestem od dziesięciu dni nauczycielką u państwa Ciemierzewskich. Nie znam tu jeszcze nikogo Domek pani zachwycił mnie, chciałam mu się przyjrzeć.

Kobieta otworzyła furtkę.

— Proszę panią...

A gdy Danka znalazła się w ogródku, dodała:

— Bogdzińska jestem.

— Ochorska Danka.

— Miłe, ale trochę pretensjonalne imię, pasuje jednak do pani.

Blada twarz dziewczęcia zaróżowiła się.

— Jest pani bardzo uprzejma i przykro mi doprawdy...

— Niech pani nie będzie przykro, bo żyję tak samotnie, że towarzystwo młodej i inteligentnej osoby jest dla mnie rozrywką.

Usiadły na werandzie, skąd roztaczał się widok na całą okolicę. Pani Bogdańska nie była ciekawa, nie pytała jej ani o sprawy osobiste, ani też o Ciemierzów.

Mówiły o pogodzie, o żniwach, o polityce, o wyjeździe Paderewskiego, o braku krawata w garderobie Witosa, o strajku rolnym, który zagrażał zbiorom i z wielkim trudem został zażegnany.

— Służąca jest w polu przy żniwie z moją córką, która dozoruje robotników. W domu prócz mnie, nie ma nikogo, nie mogę pani poczęstować herbatą, ale może pani napije się mleka...

Podziękowała, a pani Bogdzińska nalegała.

Przeszły do mieszkania.

Maluchne pokoiczki, bielone wapnem, aż pachniały czystością, ale mówiły też i o niezamożności.

Muślinowe firaneczki, maty na niemalowanej drewnianej podłodze, sosnowe sprzęty.

Tylko kilka obrazów na ścianach, mała półeczka z doborowymi książkami, pianino, — wskazywały na zamiłowanie i poziom kultury właścicielki tej chatki. Trzy pokoiki i kuchnia stanowiły całe mieszkanko.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

WOJCIECH HOLM

47)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— Bo jesteś piękną, jak anioł światłości — odpowiedział Egon — a tak pięknemu stworzeniu każdy mimo woli ufa. Dla brzydkich ludzi ma się instynktowną nieufność, brzydota odpycha i ludzie się przed nią mają na baczności. Twoja niezwykła piękność zdobywa ci wszystkie serca i dlatego jesteś tak niebezpieczną, bo nikt nie przypuszcza, aby złe serce mogło mieszkać w tak pięknym ciele.

— Nie byłabym złą, gdyby mi wszystko szło po myśli — rzekła Ilona ponuro — ale ja chcę szczęścia za każdą cenę i dlatego używam nawet przykrych dróg. Nie pan jednak powinien być moim sędzią, bo ja jestem tylko narzędziem pana.

— Ani mi na myśl nie przychodzi potępiać cię — zapewniał ją baron — przeciwnie, podziwiam cię szczerze. Ale teraz spieszmy się z ukończeniem tego cennego listu, bo ja muszę za chwilę jechać już do Dornbruch. Moja żona pewnie jest obrażona, żem ją na tak długo opuścił.

Po ukończeniu listu zabrał go Egon, by po drodze dać na pocztę. Potem pożegnał się serdecznie ze swoją wspólniczką.

Ilona tak była oburzoną na Wernera za jego wyrzuty, że postanowiła nie dawać mu dziś, prócz śniadania, żadnego jedzenia, ani napoju.

— Cały świat zachwyca się moją pięknością — mruknęła — dlaczego właściwie on jest ślepy na ogniste spojrzenia mych oczu i purpurę moich ust. Ach, odpokutuje on mi za to!...

W ponurym zadumaniu siedziała Ilona przy ogniu, gdy silne pukanie do okna wyrwało ją z tego zamyślenia.

Wyglądnęła i poznała Alojzego, który blady i wynędzniały, oparty o laskę stał przed drzwiami wchodowymi zamku Felseg.

— A więc nie umarł — pomyślała Cyganka ze szczerym żalem — co to za pech. Będę ja teraz z nim miała!...

Mimo tych brzydkich myśli przyjęła Alojzego z uśmiechem na twarzy.

— Bóg z tobą, Alojzy. Witam cię serdecznie w twym domu — zawołała uprzejmie. — Jak ty źle wyglądasz, biedaku — blady i wyszczuplały. Ale ja tu sobie gadam, a ty marzniesz. Poczekaj, puszczę cię natychmiast do środka.

To mówiąc, otworzyła drzwi, a schorowany kasztelan przedostawszy się z trudem przez próg, ujął obie opalone ręce Cyganki.

— Dziękuję ci niezliczone razy, mój skarbie — rzekł z wdzięcznością — za to, żeś mnie odwiedziła w szpitalu. Szkoda, że nie mogłem cię widzieć, gdyż leżałem w gorączce, ale gdy mi się lepiej zrobiło, opowiadali mi wszyscy, żeś tam była i zazdrościli mi mojej pięknej lubej. Przykro mi było na myśl, że tu jesteś samotna. Czyś się bardzo bała?

— Nigdy się niczego nie boję — odpowiedziała młoda Cyganka — jestem ochrzczona wodą Gangesu i dlatego nic złego stać mi się nie może. Ale możebyś się posilił? — zapytała po chwili — czy ci sporządzić jajecznicę?

— Wszystko mi jedno. Z twoich rąk wszystko mi będzie smakować — zapewniał ją rozkochany Alojzy — tak tęskłem za tobą, że nie mogłem się utrzymać w szpitalu i powróciłem do domu, pomimo, że mnie jeszcze tam chciano zatrzymać. A jak tobie się tu wiodło, kochanie?



Że napełnianie piłki powietrzem nie jest wielką filozofią dowodzi ta przedsiębiorcza małpeczka.

— Różnie bywało — odpowiedziała młoda Cyganka.

— Martwiłem się tym bardzo, że wy tu będziecie biedować beze mnie — odpowiadał kasztelan — brak wam było mięsa, co?

— Nie — odpowiedziała Cyganka obojętnie — spożywaliśmy wędzone, a gdy tego już nam nie stało, wyrżnęłam po kolei kury, indyczki, a nawet kozę sprzątnęłam. Nie głodni więc byliśmy tutaj, tylko brak nam było dziczyzny.

— Czy on ci nie sprawiał trudności? zapytał Alojzy, marszcząc brwi.

— Z nim zawsze dam jakoś sobie radę — zapewniało go szyderczo Ilona nie skarżę się na niego. Wszystko dobrze poszło, nie wiem tylko, skąd na jutro wezmę mięsa.

— Jeżeli nic więcej ci nie dolega, to temu ja już zaradzę — zawołał kasztelan z uśmiechem — pójdę na polowanie i przyniosę ci piękną sztukę dziczyzny, moja droga.

— A ja pobiegłabym jeszcze po kilka drobnostek do wsi — odpowiedziała Ilona — zjedz, to wyjdziemy stąd razem.

— Czy nie mógłbym ci sam przynieść, czego ci potrzeba? — zapytał kasztelan.

— Nie chcę, abyś się natężał, bo znów zachorujesz — rzekła Ilona — a co do mnie, to także dobrze będzie, jak trochę pójdę między ludzi.

Podczas tej rozmowy sporządziła na prędce Alojzemu jakąś strawę i postawiła przed nim miskę. Potem usiadła obok niego i patrzyła jak zajada.

Gdy się posilił, wyszukał kasztelan strzelbę i wraz z Iloną wybrał się w drogę. Ilonie nie chodziło tak o zakupno żywności, jak głównie o to, aby miała sposobność rozsiewania brzydkich oszczerstw na starego Herberta. Nie oskarżała ona leśniczego jawnie, bo wiedziała, że jej się to nie uda, lecz ostrożnie i chytrze rozsiewała swe jadowite nasienie.

Podczas gdy Cyganka z podziwu godną zręcznością i ostrożnością starała się podkopać dobrą reputację Herberta, Alojzy ociężale poruszał się na swych kulach, rozglądając się za zwierzyną. Ale ledwie uszedł kawał drogi, padł wyczerpany na kamień przydrożny. Zanadto był jeszcze osłabiony na takie wycieczki i zanadto wiele siłom swoim ufał.

Nagle usłyszał tuż za sobą wystrzał i odwróciwszy się zobaczył na ziemi leżącego tłustego dzika.

Obok zastrzelonego zwierza stał okazały mężczyzna z bronią w rękach. Był bardzo licho ubrany.

— Kim jesteś? Nie znam cię, pewnie nie jesteś z tej okolicy? — przemówił nieszczęśliwy Alojzy do kłusownika.

— Nie jestem też tutejszym, tylko przystałem tu, żeniąc się przed czterema laty — odpowiedział kłusownik, który natychmiast poznał, że Alojzy był także kłusownikiem.

— Czy ci się źle powodzi? — zapytał go znów Alojzy, patrząc na podarte jego ubranie.

— Mam w domu chorą żonę i dwoje dzieci, a nie mam dla nich chleba — odpowiedział zapytany smutno.

— Słuchaj — rzekł mu Alojzy — chciałem także coś upolować, ale mi się jakoś nie składa. Daj mi tego dzika, a ja ci dam dwa guldeny i worek grochu dla twoich dzieci!

— Dobrze — rzekł Alojzy — wiem, co to znaczy głód, bo moja nieboszczka matka także nieraz nie dała mi się najeść do syta. Chodź ze mną!

Wspólnymi siłami podnieśli obaj mężczyźni dzika, położyli go na silnie splecione gałęzie i ponieśli go tak do zamku. Może ty jesteś Alojzy?

Kasztelan odpowiedział na to tylko niemym skinieniem głowy.

Otworzywszy drzwi, pociągnął zabitą zwierzynę do kuchni, wyjął ze szafy bochenek chleba, flaszkę wódki i kilka garści orzechów i wręczył je kłusownikowi wraz z dwoma guldenami, mówiąc:

— Tam w kącie stoi obiecany worek grochu, który po godzinie gotowania jest zawsze zupełnie miękki. Wystarczy wam to na całą zimę.

— Dobrze — mruknął kłusownik, ale daj mi jeszcze kawałek sznura, abym mógł lepiej nieść ten worek!

Alojzy dał mu kawał sznura, a potem rzekł, wahając się:

— Mam jeszcze w piwnicy dobre jabłka, zaczekaj chwilkę, bo ci dam jeszcze kosz jabłek dla twoich dzieci!

— Dobrze, zaczekam — rzekł kłusownik — aby biednym dzieciom sprawić przyjemność. One tak rzadko coś dostają!

Alojzy złapał kosz i poszedł do piwnicy.

— Dla Ilony i tak za dużo. Mają gnić, to lepiej niech biedne dzieciska jedzą — mruknął kasztelan, schodząc po schodach i po chwili wrócił z napełnionym koszem do kłusownika.

Teraz bądź jeszcze taki dobry i daj mi kosz na plecy — abym mógł mieć wolne ręce na resztę rzeczy.

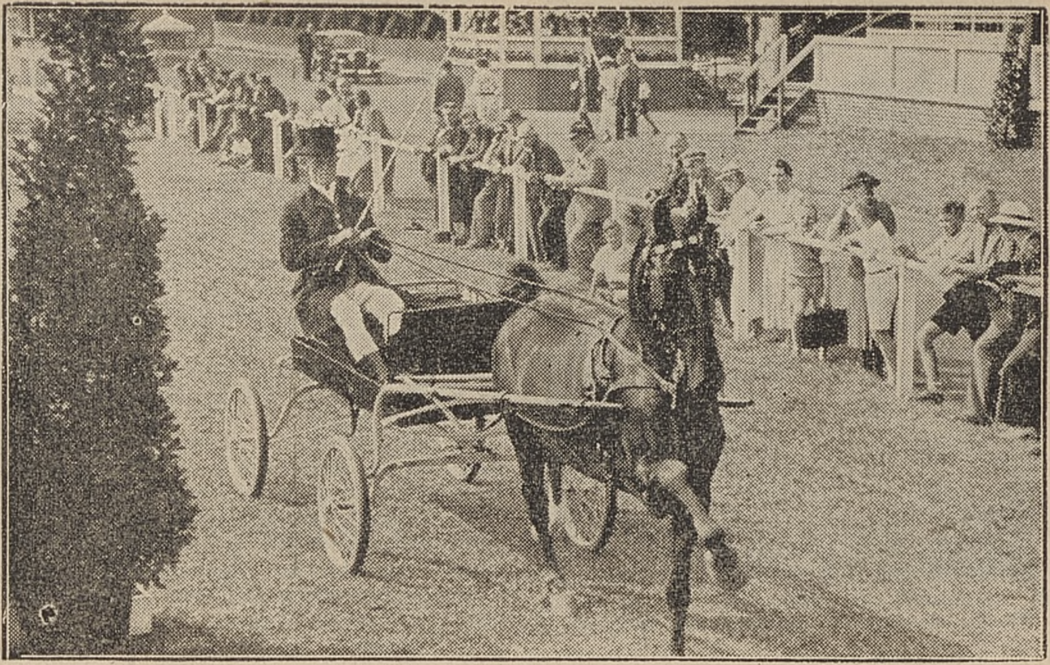
Kasztelan spełnił jego życzenie, a kłusownik podziękowawszy odszedł uradowany na myśl o przyjemności, jaką sprawi dzieciom.

Gdy Alojzy został sam, zaczął zaraz sprawiać dzika, mimo, że czuł się okropnie osłabiony.

Wątrobę upiekę ze sloniną zaraz jak tylko Ilona wróci z miasta i spożyjemy ją natychmiast, bo traci smak, jak stoi.

Alojzy byłby chętnie zeszedł do podziemia aby zobaczyć więźnia, ale wiedział, że to byłoby nad jego siły. Pocieszył się więc myślą, że Ilona dobrze doglądała ich pupila.

Z niecierpliwością oczekiwał powrotu swej kochanki, ale przyszło dopiero późnym wieczorem. Otworzył jej drzwi i zaczął obsypywać czułościami, które ona ze wstrętem znosiła.



Zwycięzca konkursu pojazdów na zawodach jeździeckich w Akwizgranie.

Zagrzej się kochanie — rzekł serdecznie — musiałaś okropnie zmarznąć!

Odpowiedziała mu wymijająco i weszła za nim do kuchni. Popatrzyła zaraz do kąta w którym stał worek z grochem.

Miejsce było próżne.

— Gdzieś podział worek z tego kąta? — zapytała zbielałymi ustami.

—Zrobiłem zamianę, za którą mnie pochwalisz — cieszył się Alojzy — dałem ten groch jednemu biedakowi, a dostałem od niego za to dużego dzika, i zrobiłem jeszcze przy tym dobry uczynek, bo ten będzie miał na długi czas pożywienie dla swoich dzieci.

— Nieszczęśliwy — jęknęła Ilona — co zrobiłeś? W tym worku miałam schowany cały swój majątek! Zrobiłeś ze mnie żebraczkę; unieszczęśliwiłeś mnie! Pobiegnij za tym człowiekiem i odbierz od niego moje pieniądze, inaczej słowa więcej do ciebie nie przemówię.

— Nie mam pojęcia gdzie on mieszka i jak się nazywa — mruknął Alojzy przygnębiony.

Ilona zaczęła kląć, narzekać i lamentować.

— Czyż można kogoś tak przeklinać dla kilku marnych guldenów? — zapytał Alojzy z wyrzutem — uspokój, się, a oddam ci tyle, ile w tym worku miałaś.

—Nie udawaj bogacza, ty nędzarzu — wrzeszczała Ilona — nigdyś razem tyle pieniędzy nie widział, ilebyś mi za to oddać musiał!

O, ty łotrze! Chciałabym cię już raz zobaczyć na szubienicy, a byłby szczęśliwy dzień dla mnie! A teraz gadaj jak wyglądał ten człowiek, któremuś dał cały mój majątek?

Alojzy nie odpowiadał. Jej dzikie, straszne przekleństwa brzmiały jeszcze w jego uszach. Nie mógł tego pojąć, jak ta ukochana istota mogła być tak złą dla niego!

— Mówże! — krzyknęła Cyganka, potrząsając nim ze złości. — Gadaj, przeklęty! Ach, wiem już dlaczego ty milczysz, to ty sam ukradłeś moje pieniądze. Jakże głupią byłam i mogłam wierzyć w tę bajkę, którą dla zmylenia mnie zmyśliłeś.

— I ty możesz mnie tak posądzać i tak krzywdzić? skarżył się Alojzy. — Opiszę ci dokładnie jak ten człowiek wyglądał, szukaj za nim, a gdy go znajdziesz, przekonasz się, że mówiłem prawdę.

Gdy Alojzy skończył opis, wybiegła Ilona jak szalona z izby, mimo, iż to była ciemna noc.

— Zostań Ilono — wołał za nią kasztelan — popatrz jak ciemno, zabłądzisz jeszcze!

Ale proszące jego słowa przebrzmiały niesłyszane, zagłuszone świszczącym wiatrem północnym. Chciał pobiec za Iloną, ale stracił ją z oczu i widząc, że jej nie odszuka wrócił zły do swej izby.

Klnąc, odsunął dzika na bok i rzucił się wyczerpany i osłabiony na twarde łoże.

Jakże się cieszył ze swego powrotu do zamku! Jakie dumne nadzieje snuły mu się po duszy!

Teraz wszystko przepadło! Widział on już jasno, że Ilona go nie kocha i nigdy nie kochała. Opanowała go dzika zazdrość i szalona nieufność.

W jaki sposób mogła Ilona przyjść do tego majątku? Bo w prawy sposób zdobyć nie mogła! Była ona młoda i piękna, gdyby tak...

Przy tej myśli zamknął kasztelan oczy i jęknął z bólu. Byłby Ilonę mógł zabić z zazdrości, a mimo to kochał ją tak gorąco, że czuł formalnie fizyczny ból na myśl, że Ilona mogłaby zabłądzić wśród nocy i zawiei śnieżnej.

— Gdyby choć tylko wróciła — mruknął — dałbym jej wszystko, co posiadam, aby ją rozbroić, bo wszystko znieść mogę prócz jej gniewu!

Długo jeszcze przysłuchiwał się świszczącemu wiatrowi; czasami zdawało mu się, że słyszy ciche kroki Ilony, a wtedy zrywał się i biegł do okna.

Ale tęsknota jego nie została zaspokojona. Ilona nie wracała.

ROZDZIAŁ CLXXXIII.

Intrygi i podstępy

Baron Egon Sturmfeder wrócił na zamek Dornbruch do swej żony i teściów i zdał im szczegółowy raport z pożaru.

Między wierszami dał do poznania, że podejrzywa starego Herberta o podłożenie ognia, ale hrabia Dornbruch odpowiedział mu na to ostro:

— Kochany Egonie, powinieneś być ostrożny z takimi posądzeniami. Mam starego Herberta za człowieka honorowego i pomyśl o tym, jakbyś reputację jego uszkodził, gdybyś te swoje podejrzenia przeciwko niemu wyjawił głośno!

Ale Ada stanęła zupełnie niespodzianie po stronie swego męża.

— Nigdym tej hołocie nie ufała — zawołała z nienawiścią w oczach — a teraz pokazuje się, że miałam słuszność. Nie ma wątpliwości, że stary Herbert sam podpalił leśniczówkę.

Zasługuje on za to conajmniej na dożywotnie więzienie, a nawet na szubienicę, jak zwyczajny zbrodniarz, bo jest zabójcą tej starej służącej, która zginęła w płomieniach.

— Ada, Ada! — zawołała dobrotliwa hrabina Dornbruch — nie pojmuję jak ty możesz tak mówić. Na mnie ci ludzie robili dotychczas jak najlepsze wrażenie.

— Mama jest tak anielsko dobra, że nie widzi przewrotności ludzkiej i pojąć jej nie może — schlebiał jej Egon — ale ogólnie mówią już o tym, że Herbert jest sprawcą tego pożaru. Policja wkrótce się tym zajmie, a towarzystwo ubezpieczeń nie wypłaci mu ani jednego grosza. Wezmą starego do więzienia, a żona jego pójdzie na żebry.

Rozmowa ta tak niemiłą była hrabinie Dornbruch, że wstała z kanapy i wyszła z pokoju. Egon otworzył jej szarmancko drzwi.

— Gdyby sobie kochana mama czegoś życzyła, to z chęcią postaram się — rzekł słodko i bardzo uprzejmie.

— Dziękuję — odpowiedziała hrabina — chcę się tylko popatrzeć, czy Mala już skończyła mój czepeczek. Jest ona o wiele zręczniejszą od mojej garderobianej i ma wykwintny gust.

Egon wściekał się ze złości, słysząc z ust hrabiny te hymny pochwalne na swą dawną kochankę. Było to dla niego ogromną karą, że musiał żyć z nią pod jednym dachem, znosić jej pełne wyrzutu spojrzenia i niemą pogardę, a przytem słyszeć ciągle, jak się obie panie nią zachwycają.

Nie rzekł nic na słowa swej teściowej, ale twarz jego bardzo sposępniała.

Ada, która go bacznie obserwowała, pomyślała sobie:

— Jest to dziwne, że Egon zasępia się, skoro ktoś wymówi tylko imię Mali. Musi ona pewnie znać wszystkie jego sztuczki i awanturki jeszcze z jego kawalerskich czasów, a on żyje w wiecznej trwodze, żeby go nie zdradziła. To jest wyśmienite. Muszę teraz Malę jeszcze więcej koło siebie zatrudniać, aby ją Egon często mógł widzieć i ażeby jej widok przypominał mu grzechy młodości.

Złośliwe to postanowienie rozweseliło Adę widocznie.

Hrabina Dornbruch odszukała tymczasem Malę i zdziwiła się bardzo, gdy ją zastała płaczącą.

— Co cię tak martwi? — zapytała troskliwie, kładąc swą rękę na jej ramieniu.

— Ach pani hrabino, tak mi żal biednych Herbertów — zawołała Mala — nie uratowali oni nic ze swego mienia, a leśniczy sam mało nie przypłacił tego życiem, podczas ratowania z ognia starej służącej Maks, mój szwagier, a ogrodnik wielmożnego państwa mówi, że są tak niegodziwi ludzie, którzy jeszcze obczerniają nieszczęśliwego Herberta, roznosząc plotkę, że on sam podłożył ogień.

— Skąd się Fichtner o tym dowiedział? — zapytała hrabina, siadając na fotelu.

— Bo widzi pani hrabina — odpowiedziała Mala — gajowy Hubert jest kuzynem Fichtnera i mieszka teraz przy nich, odkąd został bez dachu. Herbertowie ze swoją służącą umieszczeni są na plebanii, ale dla pomocników nie było tam miejsca i musieli się gdzieindziej starać o schronienie.

Następnie opowiedziała hrabinie szczegółowo, co się działo podczas pożaru.

— Biedni ludzie — rzekła hrabina z współczuciem — takbym im chętnie dopomogła w ich nędzy. Gdybym była zdrowa, pojechałabym sama na plebanię, aby im wyrazić swoje współczucie i wręczyć zapomogę, ale że stan mego zdrowia na to nie pozwala, to poproszę ciebie, Malo, abyś mnie wyręczyła. Jesteś dobrą i mądrą dziewczyną i wiem, że się taktownie wywiążesz ze swego zadania. Pojedziesz do nich zaraz jutro i wręczysz staremu Herbertowi sumę, którą dla nich przeznaczyłam.

Twarz Mali rozjaśniła się. Pocałowała hrabinę w rękę i wyszeptała dziękczynnie:

— Jaka pani dobra!

— Poproszę cię jeszcze o coś — rzekła hrabina z wahaniem — zatrzymaj to w dyskrecji i niech nikt w zamku o tym datku nie wie.

— Jak pani hrabina rozkaże — odpowiedziała Mala.

— Postaram się o urlop dla ciebie — rzekła hrabina, — pojedziesz do kościoła, a potem odwiedzisz Herbertów.

Urwały nagle, gdyż weszła Ada i chciała zobaczyć czepeczek.

— Ślicznie ci się to udało Malo — zachwycała się hrabina.

— Niech mama jej nie psuje — przerwała jej Ada — gdyż gotowa jeszcze wyjechać do Wiednia i tam założyć sobie salon modniarski.

— Tego nie uczynię, pani baronowo — zaśmiała się Mala — byłam już w takim interesie i nie podobało mi się tam.

Na tym skończyła się rozmowa.

Nazajutrz wyjeżdżała Mala odświętnie ubrana i w zgrabnych sanczkach do kościoła w Königswalden. Po drodze przypominała sobie, z jaką rozpaczą w sercu przebywała niegdyś drogę z Königswalden do Dornbruch.

Jej plan zemsty zaczął się urzeczywistniać. Egon nienawidził Adę, a młoda żona odwzajemniała mu się całkowicie. Mimo tego nie czuła się Mala szczęśliwa, a gdy pomyślała o dobrej hrabinie Dornbruch, to odezwał się w niej nawet rodzaj żalu i skruchy.

Ada jest jedynym jej dzieckiem, które kocha nad życie — myślała. — Gdy unieszczęśliwię Adę, to wpędzę tym hrabinę do grobu!

Tak, nienawiść jest obosiecznym mieczem, który się bardzo często zwraca ku własnej piersi. Już teraz czuła Mala, że to nie uszczęśliwia, jeśli się szerzy wokoło siebie nienawiść i niezgodę!

W kościele mówił ksiądz kazanie na temat: Kochajmy się wzajemnie!

Każde słowo duchownego, trafiało jakby sztyletem w jej serce. Uczuła, że nie trzymała się zasad Zbawiciela i postanowiła się poprawić.

Chciała przede wszystkim przebaczyć Egonowi. Postanowiła zniknąć z jego pobliża i poświęcić swe życie biednym i chorym jako siostra miłosierdzia.

W ten sposób myślała zmyć swe grzechy i odpokutować za nie.

Ale wszystkie te dobre zamiary spełzły na niczym i nienawiść jej dla barona wzrosła jeszcze bardziej, gdy przybyła na plebanię i zobaczyła, co się tam dzieje.



Dla wojsk japońskich, udających się na wojnę do Chin, zbiera się na ulicach miast w Japonii dary i upominki. Na zdjęciu kwesta uliczna.

Na fotelu siedział Herbert blady i wynędzniały. Twarz i ręce jego były poparzone, a nogi obandażowane. Przy nim stała jego żona i załamywała ręce, a przed nim znajdowało się dwóch żandarmów, z których jeden wzywał go energicznie, aby szedł z nimi.

— Co to ma znaczyć? — krzyknęła Mala — nie chcecie przecież aresztować pana leśniczego?

— Niestety, musimy to uczynić, bo mamy taki rozkaz — rzekł jeden z żandarmów, a gdy zobaczył przerażenie pięknej dziewczyny, dodał uspokajająco: Lewą swoją niewinność pewnie wkrótce udowodni, więc niech się panienka tak nie przestrasza.

— Ależ to niemożliwe, abyście pana leśniczego mogli uwięzić — krzyknęła Mala zrozpaczona. Cała okolica zna go jako poczciwego człowieka, a pani hrabina Dornbruch mówiła dopiero wczoraj, że Herbert jest człowiekiem honorowym!

W takim razie jej zdanie różni się bardzo od opinii, jaką ma o panu leśniczym jej zięć — przerwał jej jeden z żandarmów — bo właśnie z powodu własnoręcznej denucjacji pana barona Sturmfedera, dostaliśmy rozkaz aresztowania pana Herberta. Muszą zatem być ważne dowody winy, jeżeli policja wkracza do człowieka tak poważanego w całej okolicy i powszechnie lubianego, jak pan Herbert.

— Ale panowie nie macie przecież żadnych dowodów winy — zawołała wzburzona — on jest niewinny. Byłby sam zginął w płomieniach i jego żona także, gdyby nie obaj gajowi, którzy wskoczyli do palącego się domu i uratowali ich. Byli oni oboje już całkiem odurzeni dymem i swędem. Tylko niestrudzonej odwadze obu tych poczciwców, zawdzięczają swoje życie.

— W liście oskarżającym Herberta napisano, że on umyślnie udawał zemdlenie, aby zmylić ludzi — szepnął żandarm Mali do ucha.

— Kto to pisał, jest nędznym łotrem — krzyknęła ona oburzona.

Zacisnęła ze złości pięści. Skrucha jej znikła i ustąpiła miejsca większej jeszcze nienawiści.

— Chodźcie, panie leśniczy — rzekł znowu jeden ze żandarmów. — Pan wie przecież, że podwładny musi spełnić rozkaz swego przełożonego, choćby go to Bóg wie wiele kosztowało.

— Jestem gotów — rzekł wreszcie leśniczy zrezygnowany — przeczuwałem, że to tak przyjdzie. Biedna Magdaleno — zwrócił się do swej żony — nie płacz tak bardzo. Bóg sprawiedliwy, okaże moją niewinność.

Ale pani Herbert lamentowała:

— Jesteś chory, Pawle. Będzie to twoją śmiercią, jeżeli pojedziesz do miasta, na takie brzydkie powietrze? Czyż mam wszystko stracić, co mam na świecie drogiego? Nie opłakuję mienia, które straciłam, ale utraty męża nie przeżyję. O, ja biedna nieszczęśliwa! Ręka Boska srodze mnie karze.

— Nie rozpaczaj, Magdaleno — pocieszał ją stary leśniczy — sprawiedliwość Boska wyświeci moją niewinność i odkryje winowajcę.

— Amen, amen — szepnęła Magdalena z pobożnością.

Leśniczy wstał z trudem i przeszedł kilka kroków.

— Zostawcie go jeszcze kilka dni w domu — prosiła pani Magdalena — niech przynajmniej trochę do zdrowia przyjdzie. Widzicie przecież jaki on chory i możecie być pewni, że w tym stanie nie będzie mógł próbować ucieczki. Miejcie litość nade mną, biedną kobietą, a pani, panno Malo, proś pani za mną. Bóg to pani zapłaci.

Mala użyła całej potęgi swej wymowy, aby wzruszyć żandarmów, ale na próżno. Utrzymywali oni, że muszą spełnić dany im rozkaz, mimo, że im to samym sprawia przykrość.

— Dość tego — rzekł Herbert spokojnie — pomóżcie mi panowie, bo nie jestem na tyle silny, aby pójść samemu do sanek.

Podał rękę żonie i pocieszał ją:

— Bądź mężną, Magdaleno. Po smutku następuje radość. Kto wie, co za uciecha czeka nas już w następnych dniach. Odwagi, tylko odwagi.

Pani Herbert nie dała się jednak pocieszyć i byłaby padła na ziemię zemdloną, gdyby ją Mala nie była podtrzymała.

Herbert obejrzał się raz jeszcze za nią stroskanym wzrokiem, potem dał się



Na zdjęciu księżniczki i książęta krwi, którzy zjechali na dzień urodzin młodego króla Jugosławii Piotra II, który w dniu 6 września ukończył 14 rok życia.

spokojnie poprowadzić swym towarzyszom.

We wsi rozeszła się wieść lotem błyskawicy o uwięzieniu leśniczego. Ludzie powracający z kościoła szli w stronę plebanii, aby Herbertowi okazać głośne współczucie.

Jeden z chłopów zdjął swój płaszcz i otulił nim leśniczego, drugi wsunął mu kilka guldenów do kieszeni, a kobiety lamentowały i płakały głośno.

Młoda dziewczyna, która przedtem służyła u leśniczego, przybiegła teraz i zawołała:

— Mój biedny pan nie ma teraz nawet koszuli do zmieniania, a źli ludzie mówią, że on sam dom podpalił!

Aby scenę tę skrócić, poprosił leśniczy swych towarzyszy, aby mu pomogli wsiąść do sanek.

Oni spełnili jego życzenie, a potem wsiedli sami i odjechali szybko.

Tymczasem Mali udało się ocucić nieszczęśliwą kobietę.

Obudziwszy się, rozglądnęła się pani Herbert wokoło i zapytała ochrypłym głosem:

— Czy mi się śniło, czy to prawda?

Nieszczęśliwa kobieta oparła rozpaloną swą skroń o pierś Mali i tylko jęk, który od czasu do czasu wydawała zdradzał, że ona jest przytomną.

Mala pocieszała ją cicho; wreszcie odważyła się powiedzieć, co było właściwym celem jej przybycia.

— Pieniądze! — krzyknęła pani Herbert z błyskiem w oczach — pieniądze za moje cierpienia, pieniądze za moją hańbę, za nędzę, która mi serce rozdziera?

— Pani hrabina jest dobra — rzekła Mala uspokajająco — ona nie winna nic temu, że baron, zięć jej, jest łotrem. Proszę przyjąć te pieniądze, pani Herbert; może to pani całkiem spokojnie uczynić, baron nic o tym nie wie!

— Nie — zawołała energicznie pani Herbert — raczej wolę zginąć z głodu, niż przyjąć coś od kogoś, który jest bliskim baronowi.

Pani nie zapomnę nigdy tej litości, którą mi pani okazała w niedoli, ale raczej wolałabym umrzeć wśród mąk, niż przyjąć dobrodziejstwo od krewnych barona Sturmfedera. Proszę to powiedzieć pani hrabinie.

— Trzysta złotych — zaczęła Mala nieśmiało.

— Choćby i trzysta tysięcy złotych! — przerwała jej pani Herbert — nie mogę kupczyć honorem mego męża.

Mala widziała, że nic nie wskóra i z ciężkim sercem wróciła do domu.

ROZDZIAŁ CLXXXIV.

Noblesse oblige

Czarny Petöffy chodził po swoim salonie urządzonym z nadzwyczaj wyszukanym przepychem i elegancją — ale był bardzo niespokojny.

Z myśli nie schodziła mu postać złotowłosa o niebieskich oczach, czarnych długich rzęsach i o dziecięcych prawie, niewinnych ustach.

Książę sądził, że uczucie jego dla pani Waldau jest czysto platoniczne, ale przekonał się w chwili, kiedy kuzyn jego ją obraził, że w sercu ma dla niej coś więcej — że to miłość, która go nieomal przyprawia o namiętność szaleńca.

Po pojedynku, przez pewien czas nie mógł wstawać i na łożu o niej tylko myślał i marzył.

Skoro tylko wstał, nie pomyślał ani chwili o rudym kuzynie, który już odsiadywał karę w więzieniu, lecz natychmiast pospieszył do Hortensji.

Zamiast Luiga otworzyła mu drzwi jakaś stara baba i niechętnie spojrzawszy na gościa mruknęła, że pani Waldau wyjechała.

Zrozpaczony wsunął jej w łapę bogaty napiwek, żeby się dowiedzieć dokąd udała się Hortensja.

Baba wzięła napiwek, ale uprzejmość jej absolutnie nie wzrosła.

— Nie wiem — odparła mrukliwie — ja nie jestem taką pochlebczynią jak ten Luigi, co się skrada w łaski państwa, żeby mu wszystko mówili. Mnie nic nie powiedzieli, tylko kazali pilnować domu.

Niezadowolony i zły poszedł Petöffy do domu i przemyśliwał, co dalej robić, żeby się przecież dowiedzieć, gdzie się Hortensja podziała.

Spytam Felderna? — pomyślał.

Znał go za mało, żeby pójść do niego i wtajemniczać go w swoje plany. Przypadkowo zaś spotkać go w klubie, albo na zabawie i niby od niechcenia zapytać — to byłoby niezłe!!

Ale i Feldern był w melancholijnym usposobieniu z powodu wyjazdu Hortensji i nigdzie się nie pokazywał.

Chodził więc książę bezradny po swym salonie i myślał, co zrobić.

— Mam! — rzekł nareszcie i stanął — pójdę do matki, ona mi poradzi!

Zadzwonił dwa razy na służbę i zjawił się kamerdyner we fraku, a za nim lokaj w liberii.

— Przebiorę się — rzekł książę do pierwszego — daj mi ubranie cywilne, spacerowe. A ty każ zaprzęgać do powoziku, którym sam powożę. Jacque pojedzie ze mną.

W kwadrans później książę powoził sam parą pięknych cugowców, a w powozie z tyłu siedział groom i z założonymi rękoma z pogardą, patrząc na idących pieszo przechodniów.

Zatrzymali się przed małą, ale w bardzo wykwintnym stylu wybudowaną willą.

Książę rzucił lejce groomowi, wyskoczył zręcznym ruchem z powozu i zapytał lokaja, który wybiegł na powitanie.

— Czy księżna pani jest w domu?

— Tak jest, proszę jaśnie pana — odpowiedział lokaj.

Książę przeszedł przez szereg elegancko, choć po staroświecku umeblowanych pokoi i znalazł się w zacisznym buduarze, a gdy stanął na progu, ozwał się z kanapy okrzyk radości i dwie białe ręce wyciągnęły się na powitanie.

Była to matka księcia.

Kobieta około 50 lat licząca, o twarzy, na której przebyte cierpienia nie zdołały zatrzeć śladów przecudnej piękności — nie podniosła się na przywitanie syna.

Mając lat trzydzieści, gdy wracała z balu, konie wiozące ją spłoszyły się. Strwożona wyskoczyła z powozu, ale tak nieszczęśliwie, że wpadła w rów, napełniony zimną wodą. Kiedy ją wyciągnięto, leżała długi czas chora z przestrachu. Nie uzyskała zdrowia zupełnie, bo była sparaliżowana. Nie mogła poruszać nogami.

Musiała się więc wyrzec przyjemności świata, ale mimo to pozostała jej niezamącona niczym pogoda umysłu, która potem pozwoliła jej z tym większą czułością poświęcić się wychowaniu syna.

Toteż książę uważał ją zawsze nie tylko za najlepszą matkę, ale i za najserdeczniejszego przyjaciela i powiernika.

— Jakże zdrowie dzisiaj, mamusiu — zapytał, patrząc czule w jej oczy.

— Gdy ty jesteś przy mnie — odpowiedziała, głaszcząc go po twarzy — zapominam o wszystkich cierpieniach. Ale widzę po tobie, dziecko moje, że dziś sprowadza cię do mnie coś nadzwyczajnego.

— Poznała mamusia — przyznał się książę — przychodzę prosić kochaną mamusię o pociechę, radę i o pomoc.

— O!? — zdziwiła się księżna — to brzmi bardzo poważnie. Cóż ci się stało? Długów narobiłeś może? Chyba nie?

— Nie, kochana mamusiu, to co innego — odrzekł książę.

— Możeś zakochany?

— Tak jest, kochana mamusiu — rzekł książę — i to beznadziejnie.

— Dlaczego? Czyżbyś się zakochał w której z arcyksiężniczek i przypuszczasz, że cesarz nie pozwoli na związek małżeński z tego powodu, że nie jesteś udzielnym księciem?

— Nie, kochana mamusiu — pocieszał książę — ona nie jest księżniczką —

Ciąg dalszy na stronie 737.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

NAD BRZEGIEM LASU

Niebo nade mną —
srebrne obłoki — —
cisza śródleśna —
cisza głęboka —
Błękit napływa
w oczy zamknięte
słońcem...
jak tęczą gwiazd uśmiechnięte.
Szumi nade mną,
rozkwitła zieleń —
ścieżyna modrym
blaskiem się ściele —
Cisza śródleśna —
w głęboką ciszę
smutki się wplotły,
lasem kołyszą —
... a tak słonecznie jest
i tak cudnie
w poszumnym lesie —
późnym południem —

Józef Baranowsski

PROSZĘ O ADRES

„Nimfa — 004". Pragnie wstąpić do naszej „Krainki" w celu znalezienia osoby, której by mogła mówić dużo o sobie. Kłaść — jak mówi — na papier słowo po słowie, dumkę po dumce i czuć, że jest zrozumianą.

Nie wątpię, że znajdzie Pani kogoś takiego i życzę Jej dużo miłych listów od „Krainiaków". Proszę ponadto o adres, gdyż ewentualnych listów nie mogłabym Pani dosłać.

Na zakończenie serdecznie pozdrawiam i przesyłam przyjacielski uścisk dłoni.

MOŻE ZNAJDZIE SIĘ...

„Jasny Felek". Przyjmuję Pana do „Krainki" i, pozdrawiając serdecznie, zamieszczam jego list do „Krainiaków":

„Gorąco pragnę być zaliczonym w poczet członków „Rodzinki", której w tej chwili się przedstawiam:

Jestem młodym blondynem o niebieskich oczach. Mówią, że jestem miły, a nawet przystojny. Lubię marzyć.

Mieszkam w pięknym bardzo i malowniczo położonym mieście i stąd mam możność korzystania z wszystkiego, co ono daje, lecz brak mi serdecznej towarzyszki. Może w „Krainie" znajdzie się jakaś pani, która zechce skreślić do mnie kilka słów.

Wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom ślę moc pozdrowień i przyjacielski uścisk dłoni, a „Wiochnę 13" proszę, aby skreśliła do mnie kilka słów. „Krakowiance" przesyłam dużo pozdrowień. „Smutną Hankę" pozdrawiam po przyjacielsku i ślę Jej uścisk dłoni.

„Dumko" — jestem Panią zachwycony i ślę Ci wiele życzeń!"

Proszę Pana, „Jasny Felku", o nadesłanie adresu, który pozostaje do mej wyłącznej wiadomości, a co za tym idzie, bdzie miał zapewnioną ścisłą dyskrecję.

SŁUCHAJCIE!

„Blanka". Słuchajcie „Krainiacy", co pisze nasza Kochana „Blanka".

„Już od kilku dni bawię w Powidzu, kąpielisku sławnym niemniej od Juraty. A jakże! Przecież to uzdrowisko, jak się patrzy!

Jest tu coś z pięćdziesiąt osób z Gniezna, Poznania i Bydgoszczy. Co do mnie, to czuję się tu nieźle — opaliłem się pięknie i robię długie spacery, zwiedzając okolice, które tym się specjalnie odznaczają, że są lesiste i piękne.

Ponadto pławię godzinami, wykorzystując w pełni pogodę. Tyle o Powidzu na razie. Pozdrawiam wszystkich b. serdecznie i proszę nie zapominać o mnie".

Droga „Blanko" cieszy mnie niesłychanie, że jesteś zadowolona z pobytu w Powidzu i życzę Ci moc przyjemności. Poza tym, dziękuję Ci za piękne zdjęcie, które umieszczę w którymś z dalszych numerów naszego pisma. Myślę, że „Krainiacy" powitają Cię na nowym zdjęciu z zadowoleniem i uśmiechną się — jak ja w tej chwili czynię — do podobizny naszej sympatycznej Dziewczynki.

POMYŚLNOŚĆ BĘDZIE „MUROWANA"

„Czarny Hajduczek". Dziękuję Pani, Drogi „Hajduczku" za te wszystkie dobre i przeceniające moje zasługi słowa. Wierz mi, że list taki, jak Pani ostatni, zdolny jest przekreślić wszystkie przykrości, jakie spotykać mnie tu czasem mogą i budzi mi w sercu jeszcze większe, o ile to jest możliwe, umiłowanie mej pracy, związanej z przewodniczeniem „Krainie". Całuję Cię za ten najkochańszy list i za to gorące, czujące serduszko.

Możesz być pewną, że gdy takie listy dojdą mnie tu niekiedy — pomyślność w dalszej pracy będzie — niech użyję określenia, które utarło się „Rodzince" — murowana.

Bywaj! Droga Moja Dziewczynko!

„Czarny Hajduczek" przesyła za moim pośrednictwem pozdrowienia dla „Małej Konwalijki", „Blanki", „Dumki", „Białej Ualali" „Przedwiośnia" oraz całej „Rodzinki".

MIEJ ZAWSZE...

„Dziewczynka z Kujaw". Dziewczynko Złota — jaka Ty jesteś kochana i jaka jasna! Szczerość i rozradowana pogoda bije z każdego zdania Twego ostatniego listu, z każdego poszczególnego słowa, ba, literki nawet. Nie możesz wiedzieć, jak głęboko cieszy mnie fakt, że wychodzisz za mąż za człowieka kochanego, a przede wszystkim, że mu ufasz i wierzysz w jego prawość. Jakie to piękne uczucie ufność — albo wiara! A gdy się jeszcze dołączy do tego miłość — jak zaznaczasz — bezgraniczna — hej, Mocny Boże! Życie cudem się staje!

Cudem, co triumfalnym korowodem wplata się w baśniową drogę szczęścia. Tylko ją coraz rozszerzaj, coraz ukwiecaj, rozpromieniaj kwiatami duszy i radosnego kobiecego uczucia. Miej zawsze w sobie dla szczęścia twego przyszłego ogniska domowego tyle jasności i najcudowniejszej kobiecej mądrości, tyle entuzjazmu dla poświęceń, ile wykazujesz w liście do mnie — a ręczę Ci, że nigdy nie zapłaczesz gorzkim rozczarowaniem i nigdy nie utracisz radosnej pewności dobrze przeżywanego życia.

A gdy nadejdzie ta ważna data w Twym życiu, Dziewczynko Moja serdeczna, ja tu pomyślę o Tobie sercem całym, całą moją głęboką życzliwością, którą żywię do Was wszystkich i jako ta „mamusia" uśmiechnę się do Twej główki schylonej przed ołtarzem i proszalną za Tobą zmówię do Boga zdrowaśkę.

Już teraz wiesz na pewno, że nie gniewam się za to, iż nazywasz mnie w listach swych „Matusią"?

Nie mogę tego czynić, skoro w myślach rzeczywiście czuję się Matką „Rodzinki".

Pozdrawiam Cię najserdeczniej i przedrukowuję Twoje komunikaty:

„Szara Dziewczynko" — jakie wrażenia przyniosłaś z nad morza? Ściskam łapki.

P. H. K. — Toruń. Jeżeli będzie Pani przyjemnie, napiszę później — teraz naprawdę nie mam czasu. Wiersz Pani „Tęsknota" przepiękny, wszystkim ogromnie się podobał.

Halo! „Te — Em" — śliczny był Twój wiersz „U progu nowego życia". Takie dziwne wrażenie zrobił na mnie.

Wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom z Kujaw dużo serdecznych pozdrowień! Zaś całej „Krainie" przyjacielskie słowa i uściśnienia rąk.

OTRZYMAŁ PAN?...

„Łobuz z Orchowa". List wysłałam zaraz po nadesłaniu przez Pana swego dokładnego adresu — czy otrzymał go Pan i jesteś z niego zadowolony?

W liście ostatnim obiecałeś opisać nam obszernie, jak i gdzie spędziłeś wakacje i nadesłać zdjęcia. Czekam na jedno i drugie.

Za pozdrowienia i pocałunki rzucone w przestrzeń, oddzielającą mnie od Pana dziękuję i odwzajemniam się przyjacielskim uściskiem dłoni oraz przekazuję Jego pozdrowienia dla „Krainiaków".

Z DALA...

Ranki sperlone rosą,
spacery pośród łąk,
świergoty ptasząt
ponad naszymi głowami,
to wszystko już było —
jest już poza nami.
Radością promienne twarze,
nieśmiałe spojrzenia,
słowa ciche, a tkliwe
i jakieś dziwne serca drgnienia,
to wszystko już było,
pamiętasz? A dziś?
Właściwie — nie wiele się zmieniło,
jeno skowronek już nie śpiewa —
łąki nie toną w kwiatach,
świeżą zieloność zatraciły drzewa,
a chmury jakoś leniwiej
wloką się po niebie.
Dlaczego wszystko to widzę?
Bom zdala od ciebie.
Wrócisz w jakiś dzień przecie,
(wiem — czekam — śnię o tym)
bo łączy nas myśl jedną,
a przestrzeń? Myśl nie zna
przestrzeni w wszechświecie.
Powrócisz — ujrzę cię,
jak dawniej radosnym
i znowu dzionki pojaśnieją —
znowu śnić będziemy
dawne dni wiosny.

„Dzinka".

GDY BĘDZIESZ W AMERYCE...

„Marzenka". Chętnie godzę się na przesyłanie Pani, Droga Dziewczynko, wszystkich listów, które nadejdą dla Ciebie. Pragnie Pani posiadać moją przyjaźń? Nie jest to znowu takie trudne, choćby z uwagi na to, że już teraz mam wiele sympatii dla Ciebie i z góry jestem ustosunkowana jak najprzychylniej do tego Małego uciekiniera, który w Ameryce chce szukać pomyślności i szczęścia.

Napisz mi proszę dużo, co i jak z tą Ameryką — czy otrzymasz tam dobrą posadę, czy jedziesz na zawsze — słowem, napisz wszystko o swych zamiarach, bo jak dotąd to wiem tylko, że wyjeżdżasz 20 września br., że pragniesz tam abonować „Moje Powieści" i podtrzymywać zadzierżgnięty kontakt z „Rodzinką". Wyznam Ci szczerze, że to ostatnie bardzo pochwalam — wszak listy od nas będą Cię niejako wiązały z rodzinnym krajem, będą tą nicią delikatną a silną, co splata serce i pociąga je do siebie.

Cieszy mnie głęboko to, że tak bardzo zależy Ci na nas — wzajemnie postaramy się sprawić Ci przyjemność serdeczną i czynną pamięcią. Postaramy się pisać do Ciebie i wówczas, gdy będziesz już w Ameryce. Tylko nie zapomnij przysłać nam dokładnego adresu.

Prenumerata „Moich Powieści" w Ameryce wynosi miesięcznie 1,50 zł, kwartalnie 4,50 zł.

Pośpieszyłam się z odpowiedzią, gdyż chcę, aby zastała Cię jeszcze w Polsce. A później, gdy już będziesz na drugiej półkuli — będę też pisała do Pani przez naszą „Krainkę". Sądzę, że i „Krainiacy" nie poskąpią listów do Ciebie.

Dziękuję Ci dziś w ich imieniu za pożegnalne pozdrowienia, które odwzajemniam sercem całym.

Bądź pewną, że nie zapomnę o Tobie — zawsze będę Ci przychylną i bliską uczuciem opiekuńczo — siostrzanym. Zaś Ty zwracaj się zawsze i z wszystkim otwarcie do mnie bez obawy, że Cię mogę nie zrozumieć — zrozumiem i zawsze postaram się służyć radą i, zdyby zaszła potrzeba, słowami otuchy. Pamiętaj, że masz w Polsce serdeczną przyjaciółkę i niech Ci to będzie podporą w chwilach trudniejszych, które zdarzają się wszak wszędzie. Całuję Cię bardzo serdecznie!

JESTEŚMY DZIEĆMI MIASTA

„Kastor i Pollux". „Wiedząc, że „Kraina" daje wiele szczęścia i wiele rad, które czytelnikom i członkom „Krainki" przynoszą wiele ukojenia i spokoju, ośmielamy się zwrócić do p. Zofii z prośbą, aby nas raczyła przyjąć do

swej wielkiej „Rodziny“ i przedstawiła nas wszystkim „swym dziatkom“.

Może znajdzie się ktoś w tej dużej „Rodzince“ i napisze do nas, aby pokrzepić i dodać otuchy do dalszej walki w zaciętym boju życiowym?

Jakkolwiek staramy się zagłuszyć pustkę i nudę, co nas stacza, to jednak brak nam kogoś pomocnego, do którego moglibyśmy się zwrócić z całym zaufaniem.

Pani, jako dobry duch „Krainy“, nie odmówi naszej prośbie i pomoże nam, apelując do „Krainy“. Może ten apel nie pozostanie bez echa.

Jesteśmy dziećmi miasta, kochamy przyrodę, muzykę i śpiew.

Już dziś załączamy najserdeczniejsze pozdrowienia dla wszystkich Sympatyków „Krainy“ i oczekujemy listów, które prosimy kierować na adres: poste — restante „K. i P.“ — Inowrocław“.

Nie przedstawiam Was utartym sposobem, lecz pozwoliłam uczynić to Wam samym przez list, nadesłany mi onegdaj. A uczyniłam tak dlatego, iż uważam, że list ten powie „Krainiakom“ więcej o Was, niżbym ja to uczyniła w oficjalnej prezentacji. Sądzę, że godzicie się ze mną.

Ponadto nadmieniam, że jeden z Panów, A. „Ziuk“ przesyła najserdeczniejsze podziękowania za pozdrowienia od „Królowej Awanturnicy“ i ciekawy jest, gdzie ona mieszka oraz prosi, aby zechciała do niego napisać.

Przypuszczam, że nie omieszka ani ona, ani wielu innych „Krainiaków“ zadokumentować swą sympatię dla Panów listami.

SŁUSZNIE

„Przedwiośnie“. Słusznie postanawiasz, Miła Moja, — praca jest dobrą rzeczą, a Ty nie możesz przecież „odstawiać“ leniuszka. Bardzo mi też do serca przypadł Twój projekt pracy społecznej. Stoję bowiem na stanowisku, że każda jednostka winna dać coś z siebie dla społeczeństwa, dla ogólnego dobra.

Miałam chwilę naprawdę ogromnie miłą przy czytaniu opisu Twego in spe pokoju. Ależ on będzie śliczny i taki bajecznie przytulny. Pamiętałaś o wszystkim. A powiedz mi, Drogie Moje „Przedwiośnie“, czy i jakie lubisz i może uprawiasz sporty? Chciałabym to wiedzieć.

Uśmiechnęłam się radośnie na Twoją obietnicę odwiedzenia mnie w Żninie. Trzymam Cię za słowo i przez całe przyszłe lato będę oczekiwała miłej wizyty.

A teraz pozdrawiam Panią mile i umieszczam Jej komunikaty:

„Bajko“ — czy byłaś na „Święcie Morza“. Szkoda, że nie wiedziałam, gdyż bardzo pragnę Cię poznać. Mocno całuję!

„Dzinko“ — ogromnie lubię Twoje śliczne wierszyki, lecz dlaczego ich teraz tak mało? Mile pozdrawiam i ściskam łapki.

Ślicznemu „Kochaniu“ ślę moc serdeczności i słowa szczerego zachwytu.

„Blance“, „Carmen“, „Czarnemu Hajduczkowi“, „Dumce“, „Zbłąkanej Gwieździe“, „Czarnookiej Irce“, „Zadumanej Bajce“ „Duśce“, „Wieszce Kwiatów“, p. Płóciennikowi — ślę dużo, dużo milutkich pozdrowień.

Z REKOMENDACJI...

Tadeusz Ch. Z rekomendacji Wujka Janusza przyjmuję Pana do grona naszej „Rodzinki“ i sądzę, że szybko już poczujesz się z nami dobrze.

Mówił mi Wujek Janusz, że Pan, żyjąc wśród jezior i borów, masz duszę jasną i pogodną, co nie przeszkadza, że tęsknisz za szczęściem uchwytnym, pozytywniejszym. Że trzeba Panu rozmowy z ludźmi równie Panu wrażliwymi, subtelnymi, choć może nie wykołysały ich takie cudne zakątki borów i tak malownicze jeziora.

Owszem, wrażliwość na piękno natury i subtelność uczuć nie jest niepodzielną własnością ludzi, którzy mieli szczęście wyrastać w jednym i być otaczanym drugim — jest to w ogóle rys charakteru, a raczej duszy... szlachetnej, idealnej. Życzę Panu, abyś znalazł wśród nas takie piękne dusze i aby Cię napełniły zadowoleniem.

Nie obrał Pan pseudonimu, więc w przypuszczeniu, że nie zależy Panu na nim — piszę do Niego pod rzeczywistym imieniem i inicjałem nazwiska.

Jeszcze jedno — może zechce Pan przysłać swój adres, gdyż nie mogę go odcyfrować — pisze Pan tak zamaszyście, że nie mogę chwilami wyczytać treści. Adres będzie mi potrzebny do przesyłania wpływających dla Pana listów od „Krainiaków“.

Pozdrawiam bardzo serdecznie.

NAJSERDECZNIEJSZE POZDROWIENIA

„Bajka“. „Pani Zosieńce, Wujkowi Januszowi „Jaśce“, „Stelli Maris“, „Ryśce D.“, „Czarodziejce“, „Wenus“, „Carmen“, „Lawrence'owi“ i „Waldemu“ oraz wszystkim „Krainiakom“, Sympatyczkom i Sympatykom, poznanym w tym roku na Pomorzu — przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia z ostatniej już wycieczki wakacyjnej z Częstochowy.

Tym zaś wszystkim, którym ostatnio nie odpowiedziałam na listy komunikuję, że odpowiem wkrótce. Tymczasem przesyłam słoneczne uśmiechy i jak zwykle, najradośniejsze słowa otuchy i wiary w piękno i dobro życia“.

My zaś ze swej strony życzymy Ci, Najdroższa „Bajko“, dużo, dużo szczęścia, które umiesz cenić, którego nie odbarwisz, nie przytłumisz niepotrzebnym pesymizmem. Ty taka silna i ufna, tyle wierząca w dobro życia!

Napisz nam już szybko jeden z tych wspaniałych listów, co to budzą w człowieku wszystkie szlachetne struny i zmuszają je do gry pełnej, potężnej — Ty możesz się zdobyć na taki list, bo jesteś wszak silną indywidualnością i masz w sobie cudowne pierwiastki kolorowej, zachwycającej i... spełniającej się Bajki. Bajki spełniającej się — wbrew zimnym przesłankom logiki i wbrew sceptycznym myślom, pokutującym uporczywie w szarej tłum nej masie ludzkości.

Przyjmij moje serdeczne pozdrowienia i pamiętaj o nas!

ŻYCZĘ PANU...

„Młody Orzeł“. Młody ten nasz przyjaciel donosi mi, że powrócił już z obozu szybowcowego cały i zdrów. Jest on pilotem szybowcowym już od 35 roku — a w tym roku był na treningu. Powrócił i zaraz wyjechał dalej, mianowicie na Śląsk.

Już trzeba mu to oddać, że nikt z członków „Krainki“ tyle nie podróżuje, ile nasz bujny, przedsiębiorcy i ogromnie śmiały — „Młody Orzeł“.

Życzę Panu jeszcze dużo silnych wrażeń w Jego przemiłych wędrówkach po naszym pięknym kraju i umieszczam Pana komunikaty:

„Orlico“! Dziękuję za życzenia i serdecznie pozdrawiam. Szkoda, że się nie znamy — ja też jestem amatorem, ba, entuzjastą podróżowania rowerem.

Halo! Panno „Lusiu z Pucka“ proszę wybaczyć, że życzenie Pani nie spełniło się, ale nie byłem nad samym morzem, a tylko na Pomorzu i to z powodów ode mnie niezależnych.

Zbijobruk poznański!“ Milutkie pozdrowienia od bratniej duszy.

„Kopciuszku“ — z przyjemnością nawiążę z Tobą korespondencję, ale napisz pierwsza.

Dla wszystkich członków „Krainki“ całą furę pozdrowień!

Ja dziękuję Panu za pozdrowienia i odwzajemniam je z życzeniem, abyś Pan dużo energii i zdrowia nabrał w tych swoich wędrówkach po najpiękniejszych częściach naszego kraju!

CHCIAŁABYM I JA...

„Maleńka Lusia“. Pisze ta młoda nasza Sympatyczka, że i ona chciałaby należeć do „Krainki“ i drży z obawy, że jej nie przyjmiemy. Otuchy dodaje jej „Smutna i brzydka Irka“, która zdążywszy się już z nami zaprzyjaźnić, twierdzi, że nie będziemy dla „Lusienki“ zbyt okrutni i przyjmiemy ją w swoje grono dość przychylnie. I ma słuszność. Wszystkie osoby miłe i dobre chętnie widzimy wokół siebie i serdecznie wciągamy w nasze wspólne życie.

„Maleńka Lusia“ jest młodziutką panienką o oczach piwnych, usposobienia wesołego. Jest typem wysokiej, szczupłej i żywej szatynki.

Prosi mnie o przekazanie pozdrowień i serdecznego uścisku dłoni dla „Ali - Ala“, „Przedwiośnia“, „Marzącego Sfinksa“, „Młodego Orła“ i „Sportowca“.

Jak Ci wszyscy wyliczeni odpowiedzą — będziesz miała dużo kłopotu z odpisywaniem, lecz myślę, że to będzie miły kłopot — prawda?

Teczka Wujka Janusza

UWAGA, MUZYKALNI SYMPATYCY!...

„Hord“. Ma Pan rację — o moich przyjaciołach nigdy nie zapominam. Chociaż do mojej „Teczki“ puka coraz to inny gość, nie wpływa to absolutnie na to, abym zapominał o moich starych sympatykach i mniej im poświęcał czasu, jak również więcej skąpił serca. Pod tym względem zasadą moją jest traktowanie wszystkich jednakowo!

Wzruszyłeś mnie swoim listem, Mój Młody Przyjacielu! Obecnie świat jest tak zmaterializowany i zimny, że takie słowa, jak Twoje „biorą“ mocno za serce każdego idealistę, a ja — jak wiesz — zawsze jeszcze nim jestem. I chyba zawsze będę!

O, tak — masz słuszność! „Za złoto nie kupi się serca, ani szczęścia. Lepiej zjeść kawałek czarnego chleba, a mieć w sercu spokój i szczęście, niż opływać w bogactwa i czuć się „nieszczęśliwym i nigdy niezaspokojonym“.

Słyszycie, Drodzy Sympatycy? To mówi „Hord“, młodzieniec na wskroś uczciwy i rozsądny, a przy tym rozważny myśliciel.

Czyż nie ma racji? Prawda, że ma?! A więc nie szukajcie w życiu bogactw, ale prawdziwego szczęścia. Ono zaś jest zawsze skromne, ciche i niby małe, a jednak starczy za wszystko!

Z załączonych do listu wierszy przeznaczyłem do druku: „Sonię“. Może jakiś muzykalny Sympatyk „Teczki“ dorobi do niego melodię, a wypadnie z tego wierszyka milutki utworek muzyczny.

A teraz zasyłam Panu bardzo mocny uścisk dłoni i najżyczliwszy uśmiech!

DWA SERCA ZŁĄCZONE...

Dwa serca miłością złączone,
Dwa serca miłości spragnione,
I dwa spojrzenia stęsknione —
To moc szczęścia niezgłębiona!...

Znajdą się serca stęsknione
Wśród przeznaczenia mglistych dróg,
To miłość rozpala w łonie,
Miłość, którą zsyła sam Bóg...

Tadeusz Chojnacki.

WIERSZYKI DLA ZAKOCHANYCH

P. Tadeusz Ch. Z nadesłanych przez Pana wierszyków przeznaczyłem do druku: „Dwa serca złączone“... i „Za Tobą jeno tęsknię“... Utworki te nie są wprawdzie doskonałe, ale miłe, więc każdy je sobie chętnie przeczyta. Poza tym utworki te niewątpliwie nasuną niejednym czytelnikom masę wspomnień, bo czyż mało jest takich, którzy gdzieś w głębi serca szepcą cicho:

Za tobą jeno tęsknię,
Ku tobie serce się rwie“...

Przypuszczam, że zakochanych wśród nas nie braknie, bo gdzież ich nie ma — a więc wierszyki Pana, Panie Tadeuszu, wśród zakochanych uzyskają na pewno pełne uznanie.

Pozdrawiam Pana serdecznie i proszę o dalsze wierszyki.

Do „Krainki“ przyjmie Pana p. Zofia.

Nie zapominam również pozdrowić w Pana imieniu „Iste — Wenus“ oraz poprosić ją o liścik.

DALEKIEJ „SONII“

Soniu, słoneczko życia ty moje,
Gwiazdko urocza, dziwnie wspaniała,
Błyszczą, jak chabry, piękne oczy twoje
I drżą znów szczęściem twe usta małe.

Soniu, skarbie mej duszy jedyny,
Czy wiesz, że wziąłaś ty serce moje
I teraz wszystkie, mych snów godziny,
Są pełne ciebie i... niepokoju?...

Soniu, dziewczko, ach ty, maleńka,
Ty słodka, cicha moja ptaszyno,
Gdy na twej główce spocznie ma ręka,
Czuję, że szczęście ku mnie znów spłynie.

„Hord“.

Raj kobiet





Wraz z nadchodzącą jesienią powracają do łaski wszelkiego rodzaju bluzki i sweterki. Na zdjęciu mamy dwa eleganckie modele sportowych bluzeczek z miękkiej, dobrej wełny. Całą ozdobą są tak modne obecnie kieszonki wpuszczane, zamykane na zamek błyskawiczny.

Nie marnować kasztanów

Praktyczna Pani stara się zużytkować wszystkie wytwory gospodarstwa. Niestety, sprawa ta nie jest u nas należycie docenianą i wiele produktów się marnuje.

Do takich należą np. Kasztany. Tyle z nich u nas pożytku, że się nimi bawią dzieci: A przecież można je zużytkować na karmę, można z nich robić błyszczący krochmal do bielizny i wreszcie proszek mydlany, który oddaje cenne usługi przy szorowaniu, praniu ciemnych wełnianych rzeczy. Działa także udelikatniająco na skórę rąk.

1. Kasztany stanowią wysoce odżywczą karmę. Zadaje się je w formie mielonej względnie tłuczonej. Oczywiście muszą być obrane z łupin. Nie należy ich zadawać zbyt dużo, ponieważ mają własności zatwardzające. Krowom i koniom można dawać do 2 kg na dzień. Z początku jedzą zwierzęta tę nową paszę niechętnie, ale wkrótce przyzwyczajają się i jedzą ze smakiem.

Kasztanów można również użyć na karmę dla drobiu. Przygotowuje się ją w następujący sposób:

Gotuje się kasztany, po czym obiera i suszy w piecu, następnie tłucze w stępach albo miele na żarnach na mąkę lub krupy i miesza się dokładnie z gotowanymi ziemniakami. Na każde 2 kg żywej wagi można dawać do 20 gr mielonych kasztanów.

2. Wyrób krochmalu z kasztanów jest bardzo żmudny, ale krochmal jest wysokiego gatunku. Oto przepis:

Kasztany przeznaczone na krochmal obiera się z łupin i wrzuca do zimnej wody. — Gdybyśmy poniechali tego zabiegu, kasztany mogłyby zczernieć. Obrane owoce trzeba teraz dokładnie rozdrobnić i to jest najtrudniejsza część pracy. Trzeba to uskutecznić albo na tarce, albo w stępach.

Otrzymaną masę kasztanową wsypuje się do dużej ilości zimnej wody i doskonale wygniata rękoma. Po czym w tej wodzie zostawia się na 12 godzin. Po upływie tego czasu masę wkłada się do rzadkich płóciennych worków i wygniata się ją, przepłukując stale wodą. Zabieg ten ma na celu doskonałe wypłukanie całej mączki zawartej w kasztanach.

Płukanie i wygniatanie trzeba powtarzać dopóty, dopóki woda nie będzie zupełnie czysta. Otrzymaną mączkę zostawia się w spokoju, aby osiadła na dnie — następnie wodę się zlewa, a masę wyjmuje na czyste płachty i suszy nie na słońcu a w cieniu (na słońcu by zżółkło). Wykonawszy tę pracę dokładnie, otrzymamy śliczny biały krochmal do usztywniania bielizny.

3. Aby z kasztanów zrobić proszek mydlany trzeba o wiele mniej pracy. Kasztany obiera się z twardej łupiny, kraje w cienkie plasterki lub paski i suszy w piecu. Gdy staną się kruche, trzeba je utłuc w stępach, zemleć w żarnach lub użyć do tego choćby tylko moździerza. Otrzymany proszek należy przechowywać w suchym miejscu.

Proszku tego można z powodzeniem używać do mycia rąk, szorowania sprzętów drewnianych, prania kolorowych wełen zamiast t. zw. wiórek panamskich.

4. Z kasztanów można też zrobić sobie ekonomiczną lampkę oliwną. W tym celu trzeba cienkim świderkiem przewiercić kasztan na wylot. Następnie namoczyć go przez dobę w oleju do palenia — przeciągnąć przez otwór knot i puścić na wodę w szklance lub innym naczyniu. Zapalić przed obrazem świętych — kasztan taki pali się normalnie około 12 godzin.

M. M. S.

Czy piękne panie wiedzą jak odbywa się sejm ich pupilków?

Dwa razy do roku, w kwietniu i wrześniu, w salach aukcyjnych firmy Fouke Tur Company w St. Louis, zbierają się handlarze futer z New Jorku, Londynu, Paryża i Lipska, celem zakupu skór fokowych, wartości kilku milionów dolarów. Mało obchodzą tych ludzi tragedie, które w związku z tymi skórami corocznie rozgrywają się na dalekich wodach Pacyfiku.

Od pewnego czasu przez rząd USA. roztaczana jest opieka nad olbrzymiemi stadami fok, gromadzącymi się na skalistych wyspach grupy Alutów na oceanie Spokojnym. Tam wiosną i jesienią każdego roku krąży amerykańska flotylla rządowa, której zdaniem jest „przesiedlanie" samic wraz z młodymi — po oddaleniu się samców na północ do brzegów Alaski — do wód południowych, zaś po sześciu miesiącach odbywa się ta sama akcja w kierunku odwrotnym. W ten sposób, około miliona fok kierowanych jest corocznie przez statki patrolowe bądź to na północ, bądź południe — na przestrzeni trzech tysięcy mil.

Opieka nad fokami, dokonywana od 25 lat przez rząd Stanów Zjednoczonych, pozostaje w związku z przygodą żeglarza rosyjskiego Geriffama Pribylowa. Marynarz ten w miesiącach letnich r. 1786 krążył w pobliżu wysp Aleutów, gdy w pewnej chwili z za zasłony mglistej doszło uszu jego poszczekiwanie, wycie i sapanie fok. Podpływając ostrożnie, dostrzegł on wyłaniające się z oparów wodnych skały wulkaniczne, rojące się tysiącami fok. Pribylow dokonał tym samym niezmiernie cennego odkrycia: znalazł on poszukiwane już od dawna miejsce, gdzie gromadzą się i parzą, olbrzymie stada fok Pacyfiku. Wyspy same nie przedstawiają żadnej wartości. Nie ma tam drzew, ani w ogóle jakiejkolwiek wegetacji, a mgielne tumany otaczają prawie tale te pustynne skały morskie. Ale prawdopodobnie właśnie ta ostatnia okoliczność skłoniła mądre foki do wybrania wysp tych dla corocznej tłumnej zbiórki stąd: za gęstą zasłoną mgieł czuły się one bezpieczne przed zakusami swych wrogów.

Po nabyciu w r. 1867 wysp Aleutów przez Stany Zjednoczone północnej Ameryki, pojawili się tam liczni amerykańscy, japońscy i angielscy łowcy fok, dokonując masowego uboju tych zwierząt w celu zdobycia ich cennych skór. U odkrytych przez Pribylowa wysp, zbierało się nieraz 50—60 okrętów, a pomiędzy łowcami wynikały często krwawe boje, kończące się dziesiątkami zabitych i rannych.

Kiedy w r. 1911 władze amerykańskie stwierdziły, że z dawniejszej ilości dwóch milionów fok pozostało jeszcze tylko około 250.000 sztuk, przystąpiono do pertraktacyj z zainteresowanymi krajami i w rezultacie Japonia, Rosja Anglia i USA. zobowiązały się nie zezwalać na zabijanie fok poza sezonami ustalonymi przez wybraną ad hoc komisję. Dzięki tej umowie ochronnej, ilość wzrosła w międzyczasie znów do około półtora miliona, aczkolwiek liczba zabijanych rocznie zwierząt jest stosunkowo bardzo znaczna i wynosi przeciętnie 60.000 sztuk. Ubojowi podlegają „nadliczbowe" trzyletnie samice.

Dokonywana dwa razy rocznie masowa rzeź tych potulnych, niepodejrzliwych zwierząt jest — jak opowiada jeden z naocznych świadków — widowiskiem nad wyraz przykrym. W pewnym momencie rozpoczyna się nagonka fok na falangę łowców, którzy uderzeniami pałek zabijają skomlące żałośnie, jakby o litość proszące, zwierzęta.

Zdarcie skóry dokonywane jest błyskawicznie przez specjalnych oprawców i trwa około 50 sukund. Świeże skóry, owinięte w płótno nasycone solą i zapakowane w beczki, wysyłane zostają bezzwłocznie do St. Louis, gdzie poddawane są różnym procesom konserwacyjnym. Stąd foka, jako towar kuśnierski, wędruje na rynki światowe, by później, pod postacią płaszczów, piękne panie i wytwornych panów chronić przed zimowymi chłodami.

Porady praktyczne

Na ukłócia pszczół i innych owadów działa szybko i skutecznie sok cebuli.

Najlepszym środkiem przeciwko pluskwom są liście szałwii.

Mleko nie przypala się, gdy się garnek przed gotowaniem wypłucze zimną wodą.

Papier woskowy do słoików można przygotować domowym sposobem, pociągając zwykły papier rozpuszczonym woskiem. Trzeba to wykonać nad ciepłą blachą. Po zastygnięciu papier woskowy nie przepuszcza powietrza i może zastąpić pęcherze, których używamy do obwiązywania słojów.

Filcowe kapelusze czyści się z plam od deszczu lub błota przy pomocy surowego ziemniaka, wyszczotkowawszy uprzednie dane miejsce. Następnie przeczyszcza się jeszcze szmatką zwilżoną letnią wodą.

Nadanie trwałości podeszwom. Zagotować w dużym naczyniu (płyn bardzo się pieni) na niewielkim ogniu trochę oleju lnianego i na gorąco smarować nowe podeszwy dopóty, dopóki skóra nie przestanie wciągać oleju.

Przywrócenie miękkości obuwia, które stwardniało skutkiem wyschnięcia po przemoczeniu (np. po ulewnym deszczu) da się osiągnąć najlepiej przez wysmarowanie ciepłą mieszaniną oleju lnianego i sadła (1/8 litra i 1/8 kg).

Fotografie wyblakłe. Nałożyć na nie bibułę, silnie nasiąkniętą rozcieńczonym roztworem (roczynem) chlorku rtęci; obraz będzie niemal jak nowy. Po tej procedurze spłukać starannie wodą.

Ze świata

Przysłowiowa uczciwość w Danii znalazła nowe potwierdzenie

Najuczciwszym krajem w Europie jest bez wątpienia Dania. Cnota rzetelności jest w nim tak wysoko postawiona, iż śmiało rzec można o maleńkiej Danii, że jedynym regulatorem życia jej mieszkańców nie jest prawo ani policjant, lecz sumienie.

Ostatnio na łamach „Daily Mail" jeden z turystów, który świeżo powrócił z podróży do państw bałtyckich, zamieszcza następującą anegdotkę:

W ubiegłym roku pewien Londyńczyk udał się do Kopenhagi. Powracając z uroczystego miasta na pokład statku żeglugowego zgubił jeden banknot duński. Przypomniał sobie, że zguba ta miała miejsce w pobliżu kiosku, gdzie nabywał różne drobiazgi. Na powrót było już jednak za późno, gdyż za chwilę, statek odpłynął w dalszy rejs.

Po roku, zakończony w pięknie stolicy duńskiej turysta znów wylądował w porcie kopenhaskim. Pierwsze swoje kroki skierował przed kiosk z pamiątkami i pocztówkami, kiedy zauważył szeleszczący na wietrze banknot. Na banknocie leżał drobny bilon. Po przeliczeniu okazało się, że przybyło do pieniądza 3 i pół proc. jego wartości. Były to odsetki zapłacone przez uczciwość duńską.

Pszczoły lekarstwem na niewierność i amory zdradzających mężów

W Słowacji istnieje stare prawo zwyczajowe, mocą którego zdradzona małżonka jest upoważniona do obsypania rojem pszczół swego niewiernego męża. Prawo to jest przestrzegane z całą surowością przez ludność wiejską, która w znacznej większości słynie ze swego szczęśliwego pożycia małżeńskiego i głębokiej religijności.

Od czasu do czasu zdarza się, że zwyczaj ten bywa praktycznie zastosowany. Ostatnio fakt taki miał miejsce w małym miasteczku słowackim Stara Kanijiza. W miejscowej oberży pomagała ojcu w

obsługiwaniu gości młoda dziewczyna Maryna, która uchodziła za najprzystojniejszą w mieście. Nic przeto dziwnego, że w każdy dzień targowy zapełniała się oberża rzeszą młodzieńców i gospodarzy, pragnących choć z bliska przyjrzeć się oczętom urodziwej Maryny. Wśród gorących adoratorów Maryny wyróżniał się starszy gospodarz nazwiskiem Rohde. Dla nikogo nie było tajemnicą, że cenne kolczyki ozdabiające Marynę, były podarunkiem Rohdego.

Wiadomości o miłostkach Rohdego doszły, niesione stugębną plotką wiejską, do uszu zacnej małżonki Rohdego, która zapałała nienawiścią do obojga. W dzień jarmarku po sprzedarzy wieprzków Rohde znów zajrzał do gospody, przyjęty jak zawsze szczerym uśmiechem młodej dziewczyny. Na ten moment czekała żona Rohdego, która przedostawszy się przez kuchnię do pokoju gościnnego, obsypała flirtującą parę rojem pszczelin. Zanim zdołano zareagować Maryna i Rohde pokłuci pszczołami wili się w bólu wołając o pomoc i lekarza. Wśród ogólnego zamieszania Rohdowa zdołała umknąć niespostrzeżona. Dziewczyna i gospodarz po opatrunku zostali odesłani do lecznicy. Po kilku dniach odwiedziła mściwa kobieta swego małżonka. Rohde przyrzekł jej wówczas, że odtąd przestanie myśleć o zabawach i prosił gorąco o przebaczenie.

Zamiast złotego skarbca zwykła lodownia

Gazety kanadyjskie doniosły o osobliwym wydarzeniu, przy którym o włos nie postradał życia kuchmistrz okrętowy John Campbell. Podróż statku osobowego „Pacific Shipper" płynącego z Londynu do Vancouver odbywała się normalnie, aż pewnego dnia rozszalał się gwałtowny sztorm jesienny, tak, że śruby okrętowe z trudem tylko były w stanie pchać naprzód potężny kadłub statku, o pojemności dwunastu tysięcy tonn.

Należało liczyć się z tym, że obecna podróż przedłuży się dość znacznie. W związku z tym Campbell, po przygotowaniu wieczerzy, udał się do chłodni, aby sprawdzić, na jaki czas nagromadzone tam zapasy jeszcze wystarczają. Otworzywszy ciężkie drzwi składnicy, Campbell założył je kłodą drzewa i zapalił światła, poczem wszedł do środka. Temperatura w chłodni była dziesięć stopni poniżej zera. Podczas gdy kuchmistrz zajęty był spisywaniem inwentarza, fale coraz gwałtowniej rzucały statkiem i w pewnej chwili olbrzymi bałwan tak silnie wstrząsnął okrętem, że Campbell zwalił się z nóg i padając uderzył głową o kant żelaznej belki.

Kucharz stracił przytomność, a gdy po pewnym czasie ocknął się z omdlenia, stwierdził ku swemu przerażeniu, że pancerne drzwi chłodni są zatrzaśnięte. Najwidoczniej wskutek gwałtownego wstrząsu, który jego samego powalił na ziemię, kłoda zapierająca drzwi wejściowe, została odrzucona i drzwi samoczynnie zapadły w zamek. Campbell stanął bezradny. Wiedział, że mechanizm zamkowy umożliwiał otwieranie drzwi jedynie od zewnątrz. Wszelkie krzyki, wołania i walenie w ściany lodowni, okazały się bezskuteczne, gdyż były zagłuszone przez szalejącą burzę.

Zrozpaczony więzień począł rozważać swoje tragiczne położenie: o udaniu się jego do chłodni, nikt nie mógł wiedzieć, gdyż nikomu o tym nie mówił: był samodzielnym szefem kuchni i z poczynań swych nie potrzebował nikomu się spowiadać. Nieobecność jego w kuchni i prywatnej kabinie mogła pozostać nie zauważona, aż do czasu przygotowania nazajutrz pierwszego śniadania. Byłby to potwornie długi czasokres — całych ośmiu godzin!... Campbell ubrany w swą kuchenną drelichową odzież, poczynał coraz bardziej odczuwać przenikający go bezlitosny mróz.

Położenie jego stawało się z minuty na minutę coraz bardziej groźne. Postanowił nie poddawać się ogarniającemu go znużeniu, wiedział bowiem dobrze, że z chwilą gdy zaśnie — jest stracony. Zabrał się zatem do wykonywania różnych rozgrzewających ciało robót fizycznych: ciężkie skrzynie z konserwami przesuwał z jednego końca chłodni w drugi; przenosił z miejsca na miejsce worki z mąką, kawą i ryżem; zdejmował z haków porozwieszane u powały połacie mrożonego mięsa, obnosił je po chłodni, po czym znów je wieszał na właściwym miejscu.

Wykonując te bezcelowe prace, spocił się nawet, lecz wkrótce potem odczuwał jeszcze bardziej dokuczliwe zimno. Uwięziony szef kuchni stracił zupełnie poczucie czasu, czy już dużo z tych feralnych ośmiu godzin upłynęło? Nie mógł się zorientować, bo zegarka przy sobie nie miał. W końcu, całkiem już zrezygnowany, usiadł na jakiejś skrzyni i zwolna poczęły go siły opuszczać. W pamięci, niby w kalejdoskopie, jęły przesuwać mu się różne obrazy przeszłości. Szczególnie wyraźnie rysował się obraz widziany raz kiedyś w życiu: był to zsiniały trup jadącego „na gapę" pasażera, zamrożonego na śmierć w chłodni okrętowej...

Wstrząśnięty tym strasznym wspomnieniem, Campbell raz jeszcze zerwał się na nogi i dopadłszy drzwi, począł rozpaczliwie krzyczeć i walić pięściami w zimną stalową płytę. Potem całkowicie wyczerpany runął na ziemię. Przemęczony mózg uwięzionego człowieka począł wytwarzać jakieś urudne miraże. Zdawało mu się, że oto drzwi chłodni zwolna się otwierają i... —

Hallo, Mr. Campbell — zawołał wchodzący oficer okrętowy — już od godziny szukamy pana po całym statku. A toś się ładnie urządził! Szczęściem, że kapitan chciał koniecznie dziś jeszcze z panem w jakiejś pilnej sprawie pomówić. Inaczej przyszłoby ci „przezimować" tutaj do jutra rana! No, mam nadzieję, że dwugodzinny pobyt w tej strefie polarnej" niezbyt ci zaszkodził.

To rzekłszy, skinął na dwóch towarzyszących mu kuchcików, którzy napół omdlałego szefa swego ponieśli do ambulatorium okrętowego.

Adam Czekalski.

Stara bajka

Nowela

Był człowiek, którego opuścili wszyscy przyjaciele. Samotny, zebrawszy dnia pewnego ubogie swoje manatki w węzełek i kij podróżny ujawszy w dłoń, poszedł w świat, szukać prawdziwej przyjaźni.

Przez długie lata wędrował z końca w koniec ziemi, aż w końcu zatrzymał się w lesie, gdzie ulepiwszy sobie chatę z gliny i liści spadłych z drzew, umyślił zatrzymać się tu czas dłuższy.

Odwróciwszy się od ludzi, człowiek ten miał przed sobą tylko drzewa i zwierzęta. I poczuł się o wiele szczęśliwszy. Roślina pozostaje zawsze harmonijną, a zwierzę wykonywa tylko ruchy i czynności niezbędne. Gdy nie robi czegoś pięknego lub pożytecznego, nie robi nic. Żyjąc w wielkiej ciszy lasu i patrząc przez gałęzie wierzchołków na pogodne niebo, człowiek zażywał w całej pełni wypoczynku, nie zadając sobie nawet trudu napawania się swą radością.

I gdy pewnego dnia stał przed domem, zobaczył kobietę, która szła ledwie utorowaną ścieżką za szpalerem młodych dębczaków i nikłej brzeziny. Kobieta uśmiechnęła się, więc spojrzał uważniej na nią. Była młoda i piękna, źle ubrana i pozbawiona wszelkiej wstydliwości. Powitał ją skinieniem głowy, gdy przechodziła, oślepiający go blaskiem świeżego ciała.

Nazajutrz człowiek znowu zobaczył kobietę. Mieszkała gdzieś niedaleko i nie wiedział, jak się nazywa. Ludzie nazywali ją wprost „Kobieta". Lubiła przebiegać bosą stopą obszary leśne, gdzie nie mogli jej widzieć ani słyszeć ludzie, których pożądliwe spojrzenia goniły wszędzie za nią.

Teraz człowiek zaczął mówić. Mówił wymownie, trzymając ją za ręce, a jego słowa płynęły jak strumienie, niosąc w swej fali cały smutek i całe wesele niezliczonych pieśni, które wyśpiewała ludzkość od dnia stworzenia. Kobieta słuchała go długo w zachwycie, wreszcie, chcąc skłonić go do przerwania na chwilę i ukojenia swej gorączki, dała mu do pocałunku ręce. A potem dała mu oczy, z których pił nektar rozkoszy. A po oczach dała mu usta, których pocałunek wlał w niego energię i wolę. A po ustach dała mu — nie drożąc się już zupełnie — wszystko, co w niej ucałować można było, od bosych nóżek, pachnących wonią traw leśnych, do włosów, które rozczesywały pieszczotliwie drzew gałęzie. Człowiek radował się nią i wchłaniał czar jej przez cały ten poranek.

Od tego dnia kobieta przychodziła do niego coraz częściej. I tak płynęły im dni za dniami, aż w końcu nadszedł dzień, w którym wśród ludzi jest zwyczaj obdarzania się upominkami. Człowiek przypomniał sobie ten dzień i bezradnie rozeirzał się po swojej lepiance. Nie miał nic, co mógłby ofiarować kobiecie. Ale wzrok jego padł na małą skrzyneczkę w kącie, więc podszedł do niej, otworzył ją i spojrzał do wnętrza. Leżały tam zeschłe płatki róży i zbutwiała, niegdyś różowa wstążeczka. Człowiek wyrzucił to wszystko na ziemię i oczyścił wnętrze skrzynki. Potem nasłał mchu i otworzywszy pierś swoją, wyjął z niej serce i ułożył na mchu. Potem wyszedł przed swoją lepiankę, a spostrzegłszy biegnącego chłopca, przywołał go i rzekł:

— Czy wiesz gdzie mieszka kobieta i czy mógłbyś zanieść jej od mnie podarek? Za tę przysługę dam ci cały kosz jagód leśnych.

— Chętnie zrobię ci tę przysługę, człowieku — odrzekło pacholę. Daj mi to, co mam zanieść kobiecie.

Wtedy człowiek podał mu skrzynkę z swym sercem i wyprawił go w drogę.

Zdumiała się ogromnie kobieta, otrzymawszy tak cenny upominek. Długo przyglądała się sercu człowieka, w końcu otworzyła pierś swoją i włożyła go tam, aby je ogrzać, gdyż poczynało bić coraz słabiej. Potem postanowiła pójść do człowieka, aby podziękować mu za dar tak wspaniały. Jakże się zdziwiła, wszedłszy do lepianki, kiedy zobaczyła człowieka leżącego bez ruchu i prawie już konającego. Skoczyła ku niemu, rozwarła bezsilne dłonie, tchnęła weń dech swój orzeźwiający, włożyła mu w piersi gorące serce, które wróciło mu życie, i pocałunkiem ust swych kraśnych zamknęła bledszą od nich bliznę.

Wpatrywali się w siebie wzrokiem namiętnym. Ich oczy błyszczały, jak cztery jarzące się świeczniki. Długim spojrzeniem przeniknęli się wzajem aż do najskrytszych głębi duszy. W ich źrenicach rodziły się nowe ognie i nowe życie zaczęło płynąć w ich żyłach. Wtedy dopiero zrozumieli, że kobieta dała w pośpiechu człowiekowi swe własne serce. Teraz, gdy pocałunkiem swym zamknęła bliznę, nie mogła dokonać nowej zamiany. Nie mogła i — nie chciała. I oto dlaczego pozostali odtąd razem, nie znając przysiąg, w których tają się zarodki zdrady, nie znając imion kłamliwych, którymi ludzie określają pożądanie, i żyli prosto, zwyczajnie do końca dni swoich. A może i dłużej...

Koniec.



Jedno z nowych urozmaiceń sportu wodnego, stosowanych przez piękne gwiazdy filmowe w Hollywood.

ale mimo to nie mogę mieć iskry nadziei.

Księżna objęła go czule ramionami i głaskała, jak dziecko po głowie.

— A dlaczego? — zapytała.

— Czy słyszała mamusia co o pani Waldau? — zapytał z naprężoną uwagą.

— Waldau — Waldau — przypominała sobie księżna. — Ach, przypominam sobie, że mi coś opowiadała o hrabinie Nostiz — to na tym — na bazarze dobroczynności — taka ładna.

— Tak jest, ta sama, kochana mamusiu, ładna, najładniejsza w Wiedniu i na całym świecie — zawołał Petöffy.

— I ty ją kochasz? — zapytała prawie z przestrachem księżna.

— Tak jest, mamusiu — potwierdził książę — kocham ją nade wszystko. Bez niej życie dla mnie nie ma żadnego uroku.

Księżna zadumała się poważnie.

Znając syna i jego charakter stały i wierny, wiedząc, że on nigdy nie szedł śladem złotej młodzieży i nie prowadził miłostek żadnych, ani nie miał stosunków erotycznych, zrozumiała, że to musi być uczucie rzeczywiście poważne — i zmartwiła się.

Syn jej, członek rodu arystokratycznego, a ona, ta piękna pani Waldau — mieszczanka — hańba dla rodu — mezalians.

Wszystko to martwiło ją bardzo.

Zbyt jednak kochała swego syna, aby dla tych przesądów miała gwałcić silne jego i rzeczywiście szczere uczucie.

— Wiesz co? — rzekła — niedawno czytałam naszą kronikę rodzinną. Trzysta lat temu, książę Łucjan Petöffy, przodek twój, zapłonął gorącą miłością do córki pewnego piekarza i poślubił ją, mimo wszystkich trudności. Dlaczegobyś ty tak samo nie mógł pojąć tej osoby, chociaż jest pochodzenia mieszczańskiego?

Czarny Petöffy wiedział, ile to musiało kosztować jego matkę, zanim się zgodziła wypowiedzieć, że nie będzie się sprzeciwiać mezaliansowi i był jej za to ogromnie wdzięczny. Ale wiedział też o tym dobrze, że tu pozwolenie matki nic nie pomoże i dlatego zgryzoty jego nie ustawały.

Patrzył więc na matkę z wdzięcznością, ale ze smutkiem pocałował ją w rękę.

— Dziękuję ci, mamusiu — rzekł z uczuciem — widzę, jak bardzo poświęcasz się dla mnie i jestem ci za to niezmiernie wdzięczny. Niechby jednak — i to mi nic nie pomoże — pani Waldau ma męża.

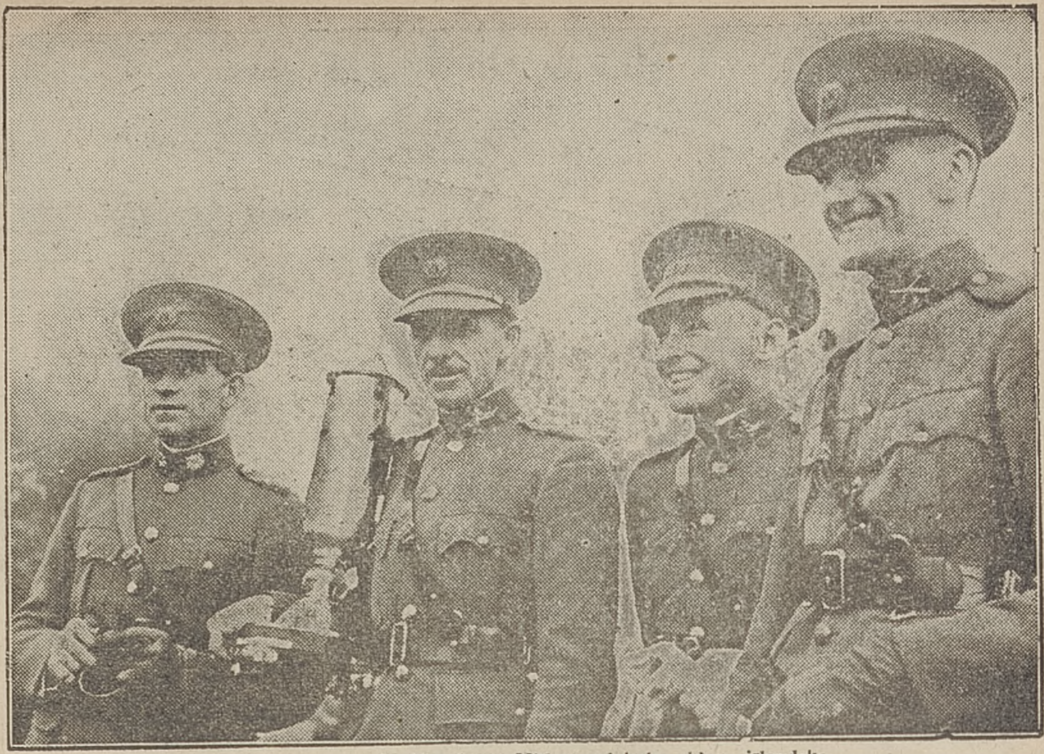
— Boże mój! — zawołała księżna — i tyś jej mówił o swej miłości?

— Nie mówiłem jej o tym ani słowa.

— Chwała Bogu — odetchnęła księżna — tu poznaję znowu ciebie. Pamiętaj o godle naszej rodziny „Noblesse oblige". Szlachectwo nasze nakłada na nas obowiązki. Ty, człowiek wysoko postawiony na świecie, ani pół kroku złego, ani cieniem nie śmiesz splamić klejnotu herbowego, na który zwrócone są oczy całego kraju. Dumna jestem z ciebie, żeś się powstrzymał i mam nadzieję, że zupełnie stłumisz w sobie to straszne uczucie, które możesz zaspokoić tylko kosztem honoru. Błagam cię, synu mój, zapomnij całkiem o tej kobiecie.

Książę ponuro patrzył w ziemię.

Tu honor postradać — tu czekać na szczęście swoje uwarunkowane ewentualną śmiercią człowieka — męża ukochanej Hortensji — tu wyrzec się — zapomnieć.



Jeździecką nagrodę Kanclerza Hitlera zdobyła ekipa irlandzka.

Chmura troski zasępiła mu czoło.

Po kilku słowach obojętnej rozmowy z matką, usprawiedliwił się przed nią jakimś zaproszeniem i pożegnał się.

ROZDZIAŁ CLXXXV.

Podstęp za chytrość

Ruda Marynia zamknęła za sobą drzwi do mieszkania Anastazji na klucz i schodziła z Józefem po schodach po ciemku.

— Gdzie masz latarkę? — zapytała Józefa półgłosem.

— Zapomniałem ją tam na górze — odpowiedział Józef.

— Psiakrew — zaklęła Marynia — ty jeszcze kiedy głowę gdzie zostawisz. Uważaj przynajmniej, żebyś kogo nie zbudził.

Jak na złość zdarzyło się, że Józef właśnie zawadził głową swoją o jakiś wystający gzyms i narobił hałasu.

Stanął więc zatrwożony, a Marynia ze złością odwróciła się i wymierzyła mu celnie, choć po ciemku, policzek.

Przekonawszy się, że nikt się nie zbudził, poszli po cichu dalej i wymknęli się przez tylną bramę na ulicę.

Idąc, rozglądali się trwożnie na wszystkie strony i na trochę silniejszy odgłos kroków, chowali się w ciemne kąty.

Tak więc zaszli aż w najbardziej odludne zaułki Wiednia.

Tam wśród odrapanych, nędznych domków, po błocie ulic walała się nędza z występkiem i brud z rozpustą.

Ale oni tu właśnie czuli się w swoim żywiole.

Wyprostowali się i śmiałym już krokiem zdążali ku jakiejś bramie, w której brakło klamki.

Zręcznym jakimś sposobem otworzyła ją jednak Marynia i oboje weszli do ciemnej sieni, do której zalatywał gwar z szynku.

Józef chciwie spojrzał w tamtą stronę, lecz ona pociągnęła go za rękaw.

— Nic z tego — rzekła — naprzód musimy ukryć ten worek.

Zdjęła ze ściany zakopconą lampkę i poświeciła mu do piwnicy.

Tam ukryła worek ze zrabowanymi przedmiotami w jakiejś skrzyni, na którą postawiła koszyk z próżnymi butelkami, starą klatkę i drabinę i potem wyszła z nim na górę.

— Powiemy — rzekła mu — że uciekłam od starej sowy.

W gospodzie, z której hałas dolatywał ich uszu i tak nęcił Józefa, było nie tylko gwarno, ale wprost hałaśliwie i duszno.

Gdy otworzyli drzwi, przedstawiła im się ciekawa scena.

Przez dym cygaretowy i grupy ludzi zobaczyli przy okrągłym stoliku pochyloną chudą, wysoką kobietę, a pod stolikiem jakiegoś maleńkiego, garbatego człowieczka.

— Wyłaź mi stamtąd, już ja ci dam, ty, małpo garbata.

— Ja jestem tu panem domu — odparł garbusek, trzymając się kurczowo nogi od stołu.

Ona ciągnęła go jednak za poły i okładała kułakami.

Goście podzielili się na dwie partie, które jednak obie z zainteresowaniem śledziły przebieg walki; tylko, że jedna była po stronie garbuska i jego zachęcała do wytrwania, druga zaś zagrzewała do walki jego zacną połowicę.

— O co zakład? — odezwał się jeden z gości, ubrany bardzo elegancko, do sąsiada w bluzie robotniczej — że ona go wydobędzie i wytłucze.

— Stawiam 20 złotych na 10 — odpowiedział właściciel niebieskiej bluzy.

Tymczasem sprawa wzięła obrót nieprzewidziany.

Chuda Frania tak silnie pociągnęła męża za nogi, że urwała się noga od stołu, przy czym ona sama upadła na ziemię, a na nią i na męża zwalił się pozbawiony podpory stół i wszystko co na nim było.

Brzęk tłuczonego szkła zmieszał się z homerycznym śmiechem zacnych gości.

Chuda Frania wygramoliła się spod czerepów i przywalającego ją stołu, a gdy za nią wstał i Henryk, jej mąż, trzasnęła go silnie w twarz.

— Masz to, com ci obiecała — rzekła, potem obojętnie podeszła do lustra, by poprawić fryzurę.

— Dawaj mi zaraz 20 blatów — rzekł elegancik, zwracając się do robotnika — bo ja wygrałem zakład.



Studentki ryskie w pięknych regionalnych strojach swego kraju przemaszerowują przed trybuną na światowej wystawie w Paryżu.

— Nieprawda! — bronił się drugi — nikt nie wygrał, bo ona jego nie wyciągnęła spod stołu, tylko on sam wyszedł.

W spór wmieszała się chuda Frania i rozstrzygnęła go na korzyść eleganckiego gościa.

— Naprzód ja go wyciągnęłam — rzekła — a potem dopiero on wylazł stamtąd.

— Ale pieniędzy nie mam — bronił się dalej robotnik — dam panu zegarek srebrny, który znalazłem dziś na Ringstrasse.

Gdy się towarzystwo trochę uspokoiło, odezwała się ruda Marynia, która tymczasem usiadła przy stole.

— Czyście ogłuchli, banda, czy co? — odezwała się z humorem. Trzy razy już wam mówiłam dobry wieczór, a wy nic!

Goście powitali ją jak dobrą znajomą, podawali jej swoje szklanki, żeby z nich piła, a robotnik zapytał:

— Nie zjadła cię jeszcze ta stara czarownica, z którą cię kiedyś widziałem.

— Uciekłam od niej — odpowiedziała Marynia — bo nie było tam interesu dłużej siedzieć.

Znajomi pocieszali ją, że znajdzie lepsze miejsce i powoli zaczęli się rozchodzić, bo był już biały dzień.

Marynia wychodziła za każdym w obawie, żeby który nie trafił do piwnicy, do jej skarbów.

Gdy wreszcie wróciła, był w izbie już tylko Józef, który chrapał na przypiecku i chuda Frania.

Zbliżyła się zaraz do Maryni i chytrze przymykając oczy i mrugając zapytała:

— Ile zarobiliście na tym interesie?

Znała widocznie dobrze swoich ludzi i wiedziała, że jeżeli Marynia uciekła od swojej pani, to z pewnością nie z gołymi rękoma.

Marynia zaś wiedziała, że wykręty na nic się nie zdadzą, odpowiedziała więc:

— Niewiele, trochę tam srebra i to wszystko.

— E! ano pokaż? — odrzekła Frania niedowierzająco.

Marynia nic nie odpowiedziała, tylko wyszła do piwnicy.

Obawiając się jednak, żeby Frania nie poszła za nią, zamknęła na klucz drzwi od szynkowni.

Teraz spokojnie przebierała w piwnicy zawartość worka.

Klejnoty schowała do kieszeni, papiery wartościowe za pazuchę, a srebro stołowe włożyła na powrót do worka i zaniosła na górę.

Tu Frania przywitała ją przekleństwami i łajaniem, za to, że ją zamknęła we własnym domu, wnet jednak rozpoczęła targ o sprzedaż srebra.

Po długiej sprzeczce zgodziły się na cenę.

Była ona że dwadzieścia razy mniejsza niż kwota, którą Anastazja zapłaciła za to, gdy kupowała.

— Teraz — rzekła Marynia — musisz mi pomóc się trochę upiększyć.

Miała na sobie jeszcze tę kaszmirową suknię, w której poprzedniego dnia usługiwała do stołu, zdjęła tylko biały fartuszek.

Spojrzała po sobie bardzo zadowolona.

Wiem już — pomyślała — elegancka narzutka, krepa i kapelusz żałobny i komedia gotowa.

Kupiła u Frani zarzutkę wcale elegancką. Frania miała bowiem w przyległym pokoju skład najrozmaitszych i to wartościowych rzeczy, między którymi podobno nie było ani jednej nieskradzionej.

— Musisz mi jeszcze pożyczyć swojej szminki, pudru i różu — prosiła dalej Marynia, a Frania chętnie przyniosła jej wszystko.

Rozpoczęło się dzieło metamorfozy.

Niebawem Marynia, która za pomocą peruki przemieniła się w brunetkę, a za pomocą szminki, blanszu i różu, w osobę o bardzo ładnej białej cerze, wybierała się do miasta.

Wtedy jednak zbudził się Józef.

Poznał ją mimo przebrania i poleciał za nią aż na ulicę.

— Żmijo — wrzasnął zatrzymując ją — to tak mi płacisz za moją ciężką pracę, że korzystasz z tego, że ja śpię i uciekasz!

— Durniu jakiś! — pieniła się ze złości Marynia — muszę iść spieniężyć papiery bankowe zanim ktoś tam przyjdzie i wszystko się wykryje i numery papierów będą na policji.

— To czekaj, ja pójdę z tobą — sprzeciwiał się Józef.

— Jakże możesz iść ze mną, Józefie, kiedy ja mam udawać, że jestem panią, a ty wyglądasz jak jaki żebrak.

— Frania sprzeda mi przecież porządne ubranie — rzekł Józef.

— A skąd weźmiesz pieniądze, ażeby je kupić? — zapytała Marynia.

— A gdzież są nasze rzeczy!? Dawaj tu! Sprzedamy je.

— Srebro już sprzedałam — musiała się zdradzić Marynia, ale przewidując, że się będzie musiała podzielić, wymieniła zaledwie połowę tylko tej sumy, którą za srebro dostała.

Józef ściągnął sobie natychmiast przypadającą na niego część i zakupił sobie u Frani bardzo porządne ubranie.

Obejrzał się potem w lustrze i nie był zadowolony.

— Mogą mnie poznać moi przyjaciele z policji — rzekł — musisz mi jeszcze dodać perukę.

Dopiero biała peruka zmieniła go do niepoznania.

Już mieli się razem wybrać do miasta, gdy Józef znowu zapytał:

— A gdzie masz klejnoty?

Marynia wściekła była, że ją Józef złapał, gdyż rzeczywiście chciała uciec od niego i nic mu nie dać. Teraz gniew jej jeszcze wzrósł z tej przyczyny, że kłamstwo jej wobec Frani wydało się. Nie było rady, musiała wszystko powiedzieć, bo Józef byłby zrobił głośną na całą ulicę awanturę.

— Co? W spódnicy? — złościł się Józef. — Żeby się wszystko wydało, jak cię przychwycą?

— Józef ma rację — dogadywała Frania na złość Maryni. — Gdybyś je miała w torebce ręcznej, mogłabyś je w ostateczności oddać Józefowi, a tak przepadło wszystko.

Zła jak diabeł musiała się Marynia zgodzić na to, żeby kupić u Frani torebkę ręczną i włożyła tam wszelkie klejnoty, potem dopiero mogła z Józefem wyruszyć do miasta.

Nie odeszli nawet jeszcze dziesięć kroków od domu, gdy Frania pobiegła na pierwsze piętro. Tam na słomie w małej izdebce leżał jakiś wyrostek i spał w ubraniu.

Frania, zbudziwszy go, pociągnęła za rękaw do okna.

— Widzisz tych dwoje tam? — rzekła, wskazując na Józefa i Marynię.

— Przecież nie jestem ślepy — odpowiedział wyrostek.

— Idź za nimi krok w krok. Oni będą chodzić po mieście, wstępować tu i tam, wreszcie pójdą na dworzec. Weź ze sobą ostry nożyk, który zresztą zawsze masz przy sobie i zetnij jej z ręki tę torebkę. Ale pamiętaj, że dopiero wtedy, gdy będą wsiadać do pociągu, bo jeśli wcześniej zrobisz, to ona wróci tu do mnie i domyśli się, że to moja sprawka.

Chłopak w kilka minut potem był już na ulicy i szedł ostrożnie krok w krok za wskazaną parą.

Marynia w paradnym żałobnym kapeluszu z czarnym welonem z tyłu i z przodu, wstąpiła do banku. Józef czekał na nią na ulicy.

Po chwili wyszła.

— No, cóż? — zapytał.

— Źle — odpowiedziała Marynia — papiery spadły o 10 procent.

— Kłamiesz — burknął Józef.

— Zaglądnij do telegramów rządowych w gazecie, jeżeli mnie nie wierzysz — szydziła Marynia, wiedząc, że on się na nic na kursach giełdy papierowej nie rozumie.

— A czy wszystko spieniężyłaś? — zapytał Józef, zły jak diabeł.

— Głupiabym była — odrzekła dumna ze swojego sprytu — to by zwróciło uwagę, żebym była od razu podejmowała taką dużą sumę. I tak już zwróciło uwagę, że spieniężyłam połowę. Pytali się mnie o adres. Powiedziałam, że jestem wdową po kapitanie Schmid. Co? Dobrze zrobiłam? Jeszcze raz pójdziemy do dwóch bankierów. Trzeba być ostrożnym. Teraz jest 9-ta, mamy jeszcze dosyć czasu.

Rzeczywiście wstąpili jeszcze do dwóch banków, potem wzięli dorożkę i pojechali w stronę dworca kolejowego.

Biedny Siamo — tak bowiem nazywał się chłopak wysłany przez Franię — musiał biec za nimi co tchu, ale dotrzymał kroku.

Pociąg już miał odchodzić; Marynia ledwie tylko miała czas wziąć bilety. Siamo zaś skorzystał z natłoku przy wagonach i tam ostrym nożykiem przeciął jej rzemyk torebki podróżnej. Torebka usunęła się na ziemię, on podniósł ją i uciekł.

Dopiero wewnątrz wagonu spostrzegła się rzekoma wdowa po kapitanie Schmid, że brak jej torebki, ale już było za późno, gdyż pociąg unoszący ją, był już w pełnym ruchu. Nie pomogły kłótnie i złość, nie pomogło wzajemne wyrzucanie sobie, kto jest właściwie temu winien, a kto nie. Józef pienił się ze złości, że ona winna, bo nie uważała; ona zaś twierdziła, zgrzytając zębami, że to on przeważnie winien, bo kazał jej wyjąć wszystkie klejnoty z kieszeni sukni i włożyć do torby. Cieszyła się jednak w duchu niezmiernie, że pieniądze schowała pod bluzkę na piersi i ani mie myślała nawet o dzieleniu się nimi ze swoim towarzyszem.

Tymczasem Frania na próżno oczekiwała z ogromną niecierpliwością powrotu Siama z torebką pełną klejnotów i pieniędzy. Sprzedał on to wszystko na innym przedmieściu za marny grosz, który natychmiast przejadł i przepił.

ROZDZIAŁ CLXXX.

Promyk światła w ciemnej nocy

Pani Willemer z tajoną złością patrzyła na wzrastającą przyjaźń Idy z z Sylwią i postanowiła zerwać ją brutalnie, wysyłając Idę z zakładu.

To też, choć bielizny podartej, przeznaczonej do reperacji było jeszcze sporo, bo obłąkani w napadzie szału darli koszule, prześcieradła i poszewki, woszła pewnego razu do szwalni i rzekła:

— Widzę panno Ido, że pani kończy robotę. Więcej już nie ma nic do naprawy. Będzie pani mogła wracać do Wiednia.

Zawiodła się jednak srodze niedobra niewiasta, sądząc, że Idę zmartwi. Dziewczyna bowiem odpowiedziała spokojnie:

— Jak pani rozkaże.

Sylwia zaś zarumieniła się z radości i chcąc ukryć rumieniec, opuściła naparstek i schyliła się, by go podnieść.

Gdy Willemerka wyszła z pokoju, dziewczęta uścisnęły się radośnie.

— Ach! jak to świetnie! — szeptała Sylwia — pojedzie pani do nas, rodzice mnie stąd zabiorą, ja wrócę i będziemy sobie żyły spokojnie w naszym cichym zakątku. Tam pani nikt nie zna.

— Owszem, zna mnie baron Sturmfeder, który czasem do nas przyjeżdżał — odpowiedziała Ida. — W tej samej chwili przypomniała sobie, że baron był u Haia właśnie niedawno i że ona w dzień później znalazła w koszu z węglami papier podarty w kawałki.

Na jednym kawałku wyczytała najdokładniej imię Sylwia i imię to właśnie utkwiło jej w pamięci przez swą oryginalność.

Przy tym pamiętała, że Hai chwalił się, że umie naśladować każde pismo i natychmiast zrodziło się jej w głowie podejrzenie, że list ów, który dostała Sylwia, pisał nie kto inny, tylko Hai.

Niechciała jednak zdradzać swego, jeżeli nie dobroczyńcy, to w każdym razie opiekuna, ale zarumieniła się na myśl o tym, że ukrywa coś przed Sylwią.

Ale ta była tak uszczęśliwiona i z tak błogim uczuciem rozpowiadała Idzie, jak tam ładnie u nich w domu, że nie uważała nawet, co się dzieje z przyjaciółką.

Biedna Sylwia nie wiedziała nic o tym, że ten kochany domek padł pastwą płomieni, a rodzice jej pozbawieni byli nie tylko dachu nad głową, ale i honoru.

Ida z trwogą wracała do Wiednia. Na ulicy mogła ją spotkać pani Hai, albo on i co wtedy?

Prawdopodobnie przy pomocy najbliżej stojącego policjanta sprowadzą ją jak zbiegłego więźnia napowrót do domu.

Woźnicy, który wiózł ją w eleganckich saniach, poleciła zawieźć się do pewnego domu, który miał bramę przechodnią i był niedaleko dworca kolejowego.

Ale przeprawa nie była taka łatwa. Ulice Wiednia są zawsze ożywione, a przypadek złośliwy zawsze każe spotkać tego, kogo by się widzieć nie chciało.

Z bijącym sercem patrzyła Ida na wszystkie strony i gdzie widziała kogoś podobnego tylko choć trochę do Haia lub Haiowej, bladła i czerwieniała na przemian.

Nagle serce przestało jej bić ze strachu.

Przejeżdżała obok cukierni, której drzwi się otworzyły. Na progu, trzymając rozkosznie na piersi tubkę z cukierkami, stanęła Cylla Spiller.

Patrzyła na przejeżdżające eleganckie sanie, potem z zazdrością na ich domniemaną właścicielkę. Ida miała gęstą woalkę od Sylwii, mimo tego Cyla poznała ją.

Otworzyła usta ze zdziwienia i zawołała:

— Ida!

Na szczęście stangret nie dosłyszał tego krzyku, bo byłby zatrzymał sanie z grzeczności, lecz pojechał dalej.

Zanim Cyla zorientowała się w sytuacji, eleganckie sanie znikły jej z oczu.

A to dopiero! — pomyślała sobie, tłumiąc w sobie gryzącą zazdrość. — Została kochanką jakiegoś bogacza i jeździ teraz saniami, jak hrabianka. Czy warto to żyć moralnie? Co mnie na przykład przyszło z mojej moralności?

Gdy tak Cyla rozmyślała z goryczą, Ida szczęśliwie przybyła na dworzec i przekonała się, że przyjechała właśnie w porę.

Kupiła bilet, wsiadła do pociągu i odetchnęła z ogromną ulgą, gdy turkot kół i trzęsienie wagonu oznajmiły, że pociąg ruszył z miejsca.

Z okna wagonu podziwiała Ida piękny krajobraz śnieżny.

Jak pięknym był świat! Ida cieszyła się tą podróżą, a bardziej jeszcze radowała się na myśl, że Herbertom przywiezie wieści o zaginionej ich córce.

Było to dla niej nową rozkoszą, móc swoim bliźnim uczynić coś dobrego. Uszczęśliwiało ją to tak, że zapomniała zupełnie o swoim własnym zmartwieniu.

Widząc jak jej towarzyszki podróży się pokrzepiają, przypomniała sobie Ida, że i jej dano prowiant na drogę i rozwiązała pakuneczek.

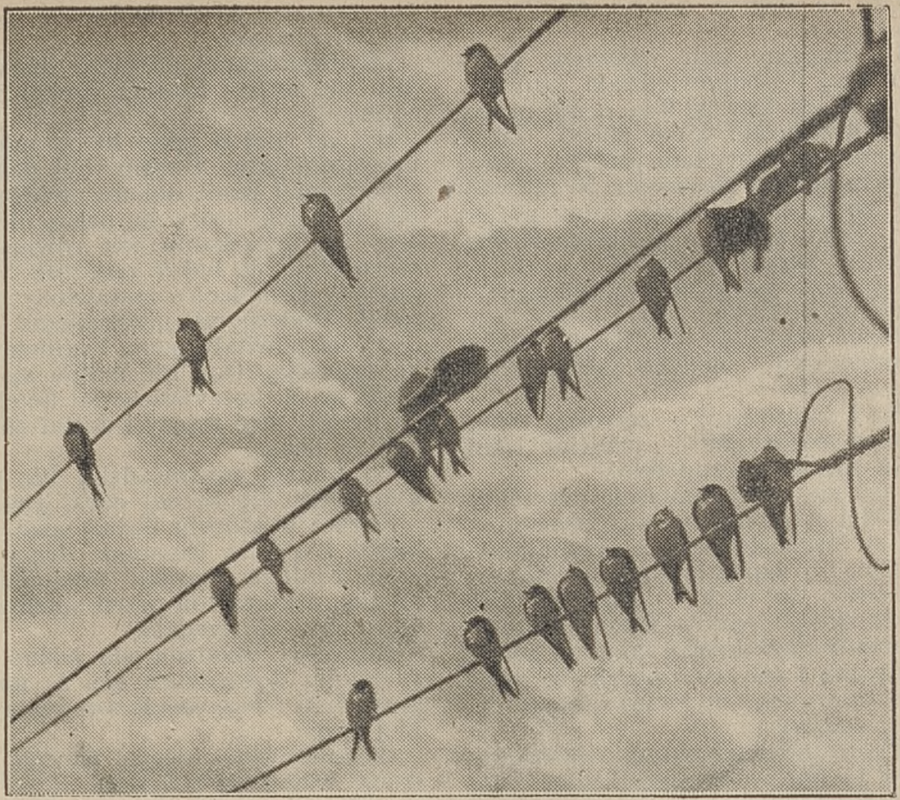
Zdziwiła się niemało, gdy zobaczyła tyle dobrych rzeczy, a szczególnie cieszyła się winem tokajskim, którym się rozgrzewała, bo było zimno a ona miała bardzo lekkie okrycie.

Godzina za godziną mijała; wreszcie zmierzch zapadł i zaświecono lampy w wagonach.

Ida usiadła w kącie i zawinęła się w chustkę, bo drżała z zimna.

Śnieg padał dużymi płatami, a pociąg zaczął się wolniej poruszać, bo szyny zasypane były śniegiem.

Zniecierpliwiona, zapytała Ida swą sąsiadkę:



Wraz z uchodzącym latem, odlatują jaskółki.

— Czy to jeszcze daleko do Petershagen?

— Powinniśmy tam właściwie przybyć o 9-tej — odpowiedziała zapytana — ale już jest trzy na 9-tą, a my mamy jeszcze przejechać kilka stacyj. Zdaje się, że nie będziemy tam przed północą!

Były to dla Idy złe wieści, bo nie wiedziała, co ze sobą pocznie o tak późnej porze. Była zanadto niedoświadczoną, aby sobie umiała poradzić.

— Czy pani jedzie do Petershagen? — zapytała ją sąsiadka.

— Jadę właściwie do Königswalden na leśniczówkę — odparła młoda dziewczyna.

— Na leśniczówkę! — zawołała dobra kobiecina zdziwiona — przecież leśniczówka spaliła się zupełnie!

Ida tak się tą wiadomością przeraziła, że zbladła i wydała bolesny okrzyk.

— Czy Herbertowie uszli przynajmniej z życiem? — zapytała zaniepokojona.

— Ledwo że uszli — odpowiedziała towarzyszka podróży — znam leśniczego Herberta bardzo dobrze, bo mam handel z dziczyzną i sprowadzam ją od niego. Poinformowałem się więc dobrze, co do tej sprawy.

— Proszę mi wszystko opowiedzieć — prosiła ją Ida — bo przybywam z daleka i nie mam pojęcia o nieszczęściu, które nawiedziło Herbertów.

Gadatliwa kobiecina zaczęła jej więc wszystko ze szczegółami opowiadać, a wreszcie dodała:

— Najgorsze jeszcze przychodzi, bo na domiar nieszczęścia aresztowano jeszcze biednego Herberta, podejrzewając go, że sam ogień podłożył.

— Wielki Boże! — krzyknęła Ida ogromnie przerażona.

— Czy pani może jesteś jaką krewną państwa Herbertów? — zapytała ją towarzyszka, patrząc na nią ciekawie.

— Nie — odpowiedziała Ida — jestem przyjaciółką panny Herbert i przybywam z wieściami od niej do jej rodziców.

— I gdzież jest teraz panna Herbert? — zapytała tamta ciekawie.

— Daleko stąd — rzekła Ida i zwróciła rozmowę na inny temat.

— A gdzie pani Herbertowa teraz mieszka? — zapytała.

— Na plebanii — odparła jej towarzyszka. — Ksiądz nas wszystkich uprzedził, bo najporządniejsi ludzie w całej okolicy, byliby to sobie uważali za honor, gdyby ona się zgodziła u którego z nich mieszkać. Niech jej to pani powie jutro.

— Jutro? — zdziwiła się nie mało Ida — dlaczego nie dziś?

— To niemożliwe. W Petershagen będziemy o północy. Skądże pani weźmie konie? Niech pani śpi u mnie, a jutro rano poszukamy koni.

— Ależ pani mnie nie zna? — broniła się nieśmiało Ida.

— Jeżeli pani jesteś w stosunkach z Herbertami, to mi wystarczy — odpowiedziała uprzejma kobieta. — Ja nazywam się Rozalinda Kudlich, jestem matką siedmiorga dzieci, które wychowałam i wyżywiłam uczciwą pracą mych rąk.

— Pani jesteś wdową? — zapytała Ida ze współczuciem.

— Broń Boże — odpowiedziała pani Kudlich. — Kudlich żyje zdrów i cały, tylko tak między nami powiedziawszy, on się nie umie zabrać do interesu. Poczciwy z kościami, ale nic więcej. Wyjechałam na dwa dni i jestem pewna, że on tymczasem więcej sprzedał na kredyt, niż ja przez cały rok.

Tak gawędziła sobie pani Kudlich, nie dopuszczając do słowa Idy, aż zajechały do Petershagen.

Gdy konduktor otworzył drzwi, okazało się, że pan Kudlich czekał na małżonkę.

Był od niej o jakie 10 lat młodszy i przystojniejszy. Ubrany był porządnie, a ręce miał białe, dobrze pielęgnowane, jak człowiek, który się pracą nie zamęcza. W mieszkaniu ich również było widać, że są to ludzie zamożni. Stół stał nakryty do kolacji i zastawiony był zimnymi, smacznymi przekąskami.

Dzieci powitały panią Kudlich z wielką radością. Ona nie myliła się co do męża, gdyż rzeczywiście dał hotelarzowi na kredyt pięć zajęcy i dostał za to porządną burę.

Po kolacji zaprowadziła Idę do pokoju swej nieobecnej córki i wskazała jej łóżko w którym będzie spać, dzieląc pokój z panną Emerenz, drugą córką pani Kudlich, bardzo przyjemną panienką, z którą Ida przed spaniem jeszcze dobrze się ugadała.

Nazajutrz zbudziła się późno i przy śniadaniu dowiedziała się, że uprzejma gospodyni rzeczywiście zamówiła już dla niej sanie.

Ciekawa była jednak bardzo, co się dzieje właściwie z Sylwią.

— Daruje pani — odpowiedziała Ida — że mi teraz jeszcze o tym nie wolno nic mówić. Gdy z panią Herbert pojedziemy po nią i szczęśliwie wrócimy, pozwoli pani, że wstąpimy tu znowu i opowiemy wszystko.

Gdy Ida wyjechała — pozostało po niej u państwa Kudlichów bardzo miłe wspomnienie.

Najsilniej jednak objawiło się to u młodziutkiego pana Józefa Kudlicha, studenta z piątej klasy gimnazjalnej.

Przy obiedzie nie jadł knedli, najulubieńszej swojej potrawy, wzdychał i myślał wciąż o Idzie. Po obiedzie kupił sobie pomadę do wąsów i nowy krawat. Zdawało mu się, że jest teraz godniejszym względów panny Idy.

W myśli towarzyszył pięknej dziewczynie w jej podróży do Königswalden.

Podróż ta była o tej porze dość niebezpieczną i wiele razy sanki omal że się nie wywróciły. Tylko wielkiej rutynie woźnicy zawdzięczała Ida, że się dostała do plebanii bez szwanku.

Była taka przemarzła, że zaledwie z trudem wstała z siedzenia; członki jej tak zesztywniały, że ledwie mogła nogami poruszać.

Gdy wchodziła na plebanię, spotkała w sieniach dziewczynę o czerwonych policzkach i opuchniętych z płaczu oczach.

— Czy mogę widzieć się z panią leśniczyną? — zapytała Ida.

— Kogo mam zameldować? — zapytała dziewczyna, ocierając fartuszkiem łzy.

— Proszę powiedzieć pani Herbert, że przywożę jej wiadomości o osobie bardzo jej bliskiej — odparła Ida.

Dziewczyna znikła i po niewielkiej chwili powróciła, mówiąc:

— Pani Herbert każe prosić.

Otworzyła drzwi i wpuściła Idę do ciepłego, schludnego, choć bardzo skromnie urządzonego pokoju.

W pokoju tym siedziała czarno ubrana, blada kobieta, której rysy nosiły jeszcze ślady wielkiej piękności. Zobaczywszy wchodzącą Idę, wstała i poszła naprzeciw niej.

— Czy mi pani przynosi może wieści od Sylwii? — zapytała, patrząc na wchodzącą swymi pięknymi, dużymi oczyma.

— Tak jest — odpowiedziała Ida — Sylwia żyje i jest zdrowa.

— Bogu dzięki — zawołała pani Herbert — moje dziecko żyje. Jest to promień nadziei w mej bezdennej rozpaczy.

Powstała pauza, po której pani Herbert przemówiła gorąco:

— Nie wiem, kim pani jest, ale wydajesz mi się aniołem zbawczym. Niech panią Pan Bóg Wszechmocny błogosławi.

Słowa te poruszyły Idę bardzo; było w nich tyle ciepła macierzyńskiego, że łzy jej się zakręciły w oczach i pomyślała, że matka tak by była do niej przemówiła, gdyby jeszcze żyła.

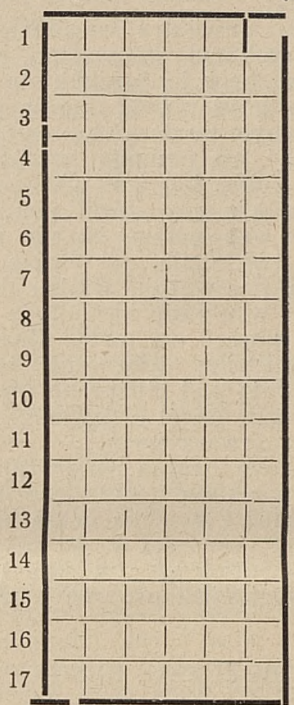
Pani Herbertowa zdjęła następnie z Idy chustkę i kapelusz i prosiła ją, żeby usiadła koło pieca. Potem zaczęła rozgrzewać jej ręce tarciem, widząc, że są na wpół skostniałe.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

CHWILA ZASTANOWIENIA

KRZYŻYKÓWKA

ułoż. Mataczyński Witold — Łysinin



W powyższe kratki umieścić 17 sześcioliterowych wyrazów. Litery w pierwszym rzędzie, czytane z góry na dół dadzą rozwiązanie.

Wyrazy pomocnicze: 1) inaczej morduje, 2) sprzęt wojenny, 3) imię męskie, 4) inaczej zawodnik, 5) część armaty, 6) imię męskie, 7) gra pokojowa, 8) zawód, 9) inaczej niebiosa, 10) in. muzyk, 11) imię męskie, 12) rodzai głębokiego uczucia, 13) imię żeńskie, 14) miasto polskie, 15) miasto polskie, 16) instrument muzyczny, 17) córka króla Heroda.

MATAGRAMY

pod. L. Kiełpiński.

W pewnym wyrazie zmieniać kolejno pierwszą literę, a powstaną nowe wyrazy o następującym znaczeniu:

a) 1. Główny kościół, 2. konsekwencja przestępstwa, 3. złudzenie, ułuda, 4. znajdzie się w powietrzu, 5. imię kobiece, 6. własny ciężar opakowania paczek.

b) 1. pani, 2. skala muzyczna, 3. pieczara, nora, 4. rzeka w Rosji, 5. gatunek owcy górskiej, 6. obramowanie obrazu.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do środy, dnia 15 września br.

Rozwiązania zadań z numeru 35 „Moich Powieści": Kwadraciki magiczne: 1. kat, 2. 3. tak, 4. dar 5. ara, 6. dal, 7. kap, 8. iwa, 9. kir, 10. cal, 11. aga. 12. p. a. c., 13. mak, 14. Ida, 15. kit.

Szarada: Uroda życia.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Wiśniewski M. — Bydgoszcz, Hodzierski Jan — Grudziądz, Dębski Zygmunt — Poznań, Jacyna Artur — Warszawa.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Dębskiemu z Poznania i Jacynie z Warszawy.

FLAVIA STENO.

7)

Nauczycielka

Gdybyś wiedział, jak cię kocham i jak rozkosznym byłby dla mnie twój pocałunek!....

20 listopad.

Boję się bardzo, że sprawdzą się moje obawy. Sir Jerzy rozpoczyna znowu swoje manewry z ubiegłego roku. Zdaje się, że coś się popsuło między nim a lady Moore, gdyż od dwóch dni nie mówią prawie całkiem do siebie, a ona rzuca mi pełne nienawiści spojrzenia! Ale ona myli się, jeżeli sądzi, że we mnie znajdzie narzędzie do wzbudzenia zazdrości w sercu swej lubej!

25 listopad.

Nie mogę dłużej znosić podobnej męczarni! Sir Jerzy nie odrywa ani na chwilę oczu odemnie przez cały dzień! Potem przy stole cierpię taką mękę, że czuję, jak oczy zachodzą mi łzami gniewu.

Najbardziej boję się, by inni tego nie spostrzegli; on nawet nie bierze już udziału w polowaniach; cały dzień przebywa z nami i w końcu skompromituje mnie. Pogodził się z lady Moore, gdyż grają razem i odłączają się często od towarzystwa, ale ja widzę doskonale, że ze strony sir Jerzego był to tylko wybieg, by przebywać więcej z nami i znów w którymkolwiek kącie salonu znajdę się, gdziekolwiek się ruszę, czuję jego spojrzenie, ścigające mnie z taką natarczywością, że nieraz muszę wyjść, by odetchnąć swobodniej. I nie mówi do mnie prawie nigdy, by jeszcze więcej wymowy nadać temu niememu prześladowaniu oczyma.

27 listopad.

O mój Boże, broń mnie! Herbert, mój najukochańszy Herbert, cierpi okropnie; nic mi nie mówi, ale ja widzę, że każde spojrzenie, jakim mnie darzy sir Jerzy, jest dla niego męką! Któż wie, jak musi cierpieć w czasie przymusowej swej nieobecności! I nie móc mu nic powiedzieć! Co mu powiedzieć? Zmusić go, by wyrzucił z domu sir Lionel'a, dlatego, że patrzy na mnie zbyt często? Czyż mogę wywołać podobny skandal?

30 listopad.

Jakaż burza we mnie! Dzisiaj wieczór pochwyciłam mimowoli fragment rozmowy sir Jerzego z lady Moore. Mówię rozmowy, lecz powinnam ją nazwać kłótnią i obym jej była nigdy nie słyszała!....

Było to na kilka chwil przed obiadem: lord i lady Campbell byli w salonie z Baby i Margą, mała mistress Whits romawiała z Lorenzem, któremu ciągle dotrzymuje towarzystwa. Mężczyźni nie wrócili jeszcze; a ja szukałam Daisy, która przed pół godziną zniknęła.

— Prawdopodobnie będzie w nursery, razem z miss Essie, milady — zauważyła Marga.

I zostawiając niańkę z Baby, zeszłam, by poszukać małej.

Gdy byłam na półpiętrze, przez otwarte drzwi, doszedł mnie dźwięk dwóch głosów, trochę wzburzonych: naturalnie nie wiedząc, kto mógłby dysputować w ten sposób, zatrzymałam się.

Wówczas usłyszałam wyraźnie głos lady Moore, wymawiający moje imię. I prawie zaraz zmieniony głos sir Jerzego, nakazujący milczenie.

Zaciekawiona, weszłam do małego przedsionka, poprzedzającego salonik lady Moore. Przez mały otwór obok portiery, zobaczyłam ich oboje doskonale. Ona była bardzo elegancka w domowej sukni à la Watteau z białego kaszmiru, nakrapianego srebrem, stała wyprostowana, oparta o konsolę kominka, z takim wyrazem gniewu i bólu na swej zawsze kamiennej twarzy, że wydała mi się rzeczywiście piękną. Pierwszy raz widziałam duszę na tym marmurowym obliczu.

Sir Jerzy stał również przed nią, z ręką opartą o poręcz fotela i hawana w ustach. Miał okropnie nieznośną minę człowieka ogromnie znudzonego, który nie wie, jak się uwolnić od bardzo niemiłej rzeczy.

— Otóż tak jest — powiedziała lady Moore, rozgrzewając się — pan myśli, że ja jestem ślepa i niczego nie spotrzegam? To nie ja zatrzymuję pana tutaj, ja już jestem niczym dla pana: Niech pan zaprzeczy, jeżeli pan może!

Sir Jerzy robił wrażenie bardzo zdenerwowanego: jego czoło zwykle pogodne, było silnie zmarszczone; a zębami żuł zgasłe cygaro, jakby na nim chciał wywrzeć tłumioną złość.

— Niech pan zaprzeczy zatem — mówiła dalej lady Moore.

— No, Nelly, proszę być dobrą i rozsądną — rzekł oddychając ciężko — kiedy przestanie pani urządzać mi sceny?

— Och, sceny? niech się pan nie obawia. Skończyłam; odtąd nie będzie ich pan miał więcej! Chciałam panu tylko powiedzieć, że nie mam już ochoty służyć panu za pretekst i być tutaj pośmiewiskiem wszystkich.

— Pośmiewiskiem? Nie rozumiem panią, Nelly.

— Proszę mnie jednak nazywać lady Moore.

— Jak pani sobie życzy — odopiedział spokojnie. — Proszę mi wytłumaczyć w jaki sposób ja panią ośmieszam, lady Mooro?

— Sądzi pan może, że mistress Whits i lord Dudley i lady Campbell i sir Tomasz Blind nie zauważyli wszystkiego?

Drżałam z przestrachu; sir Jerzy również wydawał się wstrząśnięty.

— Czego? — zapytał głucho, niemal groźnie.

— Ach! — ciągnęła ona z perfidnym, sarkastycznym uśmiechem — sądzi pan istotnie, że wszyscy są ślepi? Wyobraża pan sobie, że te dobroczynne panie nie zauważyły, że pan jest wściekle zakochany w lady St. John?

Pot wystąpił na me ciało; nie wiem, jakim sposobem oparłam się żądzy wejścia i zamknięcia tych oszczerczych ust.

— Niech pani milczy — zagrzmiał znowu sir Jerzy z błyskawicą gniewu w oczach. — Nie chcę, by pani wymieniała jej imię.

— Ach, ona jest nietykalna — syknęła zjadliwie lady Moore.

— Nikt z nas tutaj nie ma prawa znieważać, a nawet w najmniejszym stopniu dotykać sławy lady St. John!.

— O, na pewno! Jestem o tym najmocniej przekonana! Zdaje się jednak, że pan chce sobie przybrać to prawo!

— Ja? — zapytał, patrząc na nią sir Jerzy.

— Tak, pan; pan, który ją okropnie kompromituje na oczach wszystkich, który ją pożera spojrzeniem, pełnem uwielbienia, który nie może ustać chwilę spokojnie, jeżeli tej kobiety nie ma w pobliżu. — Sir Jerzy szepnął coś czego nie mogłam usłyszeć. Chciałam uciec, ale jakaś siła, wyższa ode mnie, zatrzymała mnie, bym słuchała do końca.

Lady Moore ciągnęła dalej.

— I, niech mi pan pozwoli mówić: podczas gdy ona jest kokietką, która chce robić niewiniątko, podczas gdy udaje obojętność, by pana dręczyć i rozkochać jeszcze bardziej, pan, sir Lionel, gra bardzo smutną rolę!... Pan, triumfator, bóstwo kobiet pada zwyciężony sztuczkami tej Włoszki, która przykuwa pana do stołu, gdzie siedzi jej mąż, która zmusza pana do spania tu, pod tym samym dachem, gdzie ona spoczywa z człowiekiem, należącym do niej! Ach! jakaż smutna pozycja, sir Lionel!

Och, ta bezecna złośliwość, przebijająca w jej spojrzeniu pełnym nienawiści!

Och, ten syk jej świszczącego głosu, podobny do syku węża! Och, co za zgroza, smutnych i perfidnych słów, które wymawiała!

— Niech pani milczy, niech pani milczy, lady Moore — błagał sir Jerzy.

Istotnie w głosie jego był akcent prośby; zdawało się, że po tych okropnych słowach coś się w nim złamało; że męka słuchania tego była ponad jego siły!...

— O, tak, milczę! Cóż miałabym powiedzieć panu jeszcze?

— Jest pani niedobra, lady Moore!...

— A pan, pan jaki jest? Nie pamięta pan już zatem ubiegłego lata? Zapomniał pan zatem o obietnicach, przysięgach, szaleństwach dokonanych przez pana, sir Jerzy Lionel, dla mnie? I tego wszystkiego, cośmy wymarzyli razem, nie pamięta pan? Dlaczego zawładnął pan moim sercem, moją duszą, całym moim życiem? Czy sądzi pan może, że ja nie umiem kochać? Dlatego, że mnie pan widzi dumną wobec wszystkich, zimną, jak posąg z marmuru, przypuszczał pan, że żadna namiętność nie może rozpalić się we mnie? O nie! Pan to wie aż nadto dobrze, jak pana kocham!... Teraz jest pan zmęczony! Wystarczyło, bym wyznała swoją miłość; wystarczyło, że umieścił pan także i moje imię na długiej liście swych zdobyczy; wystarczyła blada twarzyczka cudzoziemki, by cała nasza przeszłość poszła w zapomnienie!.. Ja jestem niedobra, prawdą? Co mam robić, sir Jerzy Lionel, by być dobrą? Mam patrzeć w milczeniu i obojętnie na mękę, jaką mi tamta zadaje, wpatrywać się w nią ze spokojem i pogodą, podczas gdy pan chodzi za nią i uwielbia ją, być może pretekstem, by pana zatrzymać blisko niej: wszystko to robić, prawda? Wówczas może byłabym dobra sir Jerzy?

On milczał, rzucił się na fotel, objąwszy głowę dłońmi i pozwalał płynąć temu potokowi słów, dyktowanych nieszczęśliwą miłością.

— Niech pan mówi, niech pan mówi! — mówiał lady Moore, pochylając się nad nim, rozdrażniona tym bolesnym milczeniem.

— Och, na miłość Boską, Nelly, niech pani ma litość nade mną! Niech pani zamilknie! czyż nie widzi pani, że mnie pani zabija?

Nie mogłam już dłużej zapanować nad sobą! Wszystka krew spłynęła mi do serca, które biło bardzo szybko i wstrzymywało oddech. Czułam żar w mózgu i spazm, taki spazm w całym ciele, że łzy napłynęły mi do oczu!...

Milczeli chwilę oboje: potem lady Moore zaczęła znów nieubłaganie:

— Ach, pan cierpi? cierpi pan przez tamtą? Ale czy rozumie pan, że ja nie chcę?... że ja nie mogę tolerować tego? Że jej nienawidzę, nienawidzę, rozumie pan teraz?

Litosny uśmiech wypłynął na blade usta Lionela.

— Och, jaka pani zła i niespawiedliwa! Jak pani nic nie jest kobietą! Ta, którą pani nienawidzi, nie zna nienawiści!

Mimo woli uczułam silne wzruszenie, coś jakby litość dla tego nieszczęśliwca, który mnie tak bronił!...

— Co pan o tym wie? — wrzasnęła. — A zresztą, kogo i czego miałaby nienawidzieć? Mnie nie z pewnością! O, ona mnie umie pokonać i śmieje się ze mnie! śmieje się!... Rozumie pan?... A ja nie chcę być śmieszną!...

Była w paroksyzmie złości!... Jej głos był już tylko jednym wrzaskiem; z trudnością powstrzymywanym, sykiem, wychodzącym z pomiędzy zaciśniętych z wściekłości zębów! Ach, wstręt budziła we mnie ta wysoka postać, pochylana nad sir Jerzym, który, siedząc ze spuszczoną głową, ledwie panował nad sobą!

— Dosyć — zawołał nagle, podnosząc się — dosyć, lady Moore, może zechcemy położyć koniec tej, nad wyraz niesmacznej scenie, która trwała już zbyt długo? Godność pani na pewno nie zyskuje przez nią, a poza tym proszę pamiętać, że ściany mają uszy! Nie powinienem był pozwolić pani krzyczeć tak tutaj!

Był zimny, wyniosły, pogardliwy.

Cała duma jej zbuntowała się, jakby pod uderzeniem bicza.

— Ach, jest pan już zmęczony, sir Jerzy, — wykrzyknęła, patrząc na niego wyzywająco — Zależy panu na tym, bym milczała?... Otóż niech się pan dowie: będę mówić! Panu zależy na pańskim spokoju, mnie na moim! Pan mi zabrał mój spokój, pan mi go odda.

— Skandal? — zapytał drżąc.

— Choćby; jeżeli pan sobie życzy! — rzuciła mu w twarz złowróżbnie.

Jego ogarnęła wściekłość! Wydawał się nie tym samym człowiekiem: jego zimne stalowe oczy rzucały błyskawice strasznego gniewu.

— Ale wreszcie czego pani chce? — zawołał, chwytając ją silnie za ręce i przyciskając brutalnie do ściany.

Kolana uginały się pode mną, a zęby szczękały konwulsyjnie.

Lady Moore nie wyglądała na przerażoną: uwolniła się od niego zwolna i rzekła, wybijając sylaby:

— Aby pan odjechał.

Uspokoił się raptownie.

— Czy nie ma innego środka, by panią zmusić do milczenia — zapytał zimno spoglądając na nią.

A ona, jakby cudem odmieniona, stała się nagle miła i pieszczotliwa; rysy jej wróciły do zwykłej łagodności i spokoju i ogarniając go całego najsłodszym spojrzeniem:

— Chyba — szepnęła — chyba, że pan stanie się z powrotem moim Jerzem i że ja będę znów dla pana dawną Nelly!...

Zbliżyła się do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. Sir Jerzy wstrząsnął się, jak gdyby to dotknięcie wzbudziło w nim odrazę: opanował się jednak, uśmiechnął blado i szepnął:

— Pani jest dla mnie zawsze dawną Nelly!

— Och! — wykrzyknęła lady Moore, tonem pełnym niedomówień.

— To pani dręczy się sama tak dziwnymi myślami — ciągnął dalej.

Lady Moore uśmiechnęła się:

— No, nie dyskutujmy już: mam pańską obietnicę, prawda? jestem dobra, ale widział pan, że umiem być zła. Zapomnę o wszystkim, byle pan był znowu my dear Georges!

Nie odpowiedział; patrzył tylko na nią, być może zdziwiony śmiałością tej kobiety, którą zazdrość uczyniła tak perfidną.

— Dobrze — mówiła dalej. — Tamta nie istnieje już, nieprawdaż? Biada panu, jeżeliby te spojrzenia znów się rozpoczęły.

I pogroziła mu palcem, udając, że żartuje.

— Nie każe mi pani jednak być źle wychowanym wobec damy — rzekł uśmiechając się.

— Och, pan nie ma potrzeby niczego wyjaśniać! Niech ją pan traktuje ,jak lady Campbell i mistress Whots. Nawet lepiej, jeżeli pan chce. Byleby nie było jej już tu!...

I położyła rękę na piersi, wskazując na serce.

Oddaliłam się odurzona, jakbym dostała uderzenie w głowę; nie chciałam wierzyć własnym uszom; nade wszystko skandal, którym groziła mi lady Moore i straszna nienawiść, jaką mi poprzysięgła ta kobieta, napełniły me serce okropnym udręczeniem.

O Boże! a jeżeli oni uważają mnie za winną! Jeżeli mój Herbert przypuszcza, że ja chętnie przyjmuję uwielbienie sir Jerzego i że to pochlebia mej próżności! O nie! to byłoby zbyt okropne! Mój kochany mąż wie, że nic na świecie nie mogłoby odsunąć mnie od niego. On wie, że całe moje życie do niego należy i że oddałabym krew, byle mu oszczędzić najmniejszego bólu!...

Muszę go widzieć!

2 grudzień.

Herbert był bardzo zdziwiony, widząc mnie wczoraj wchodzącą do jego pokoju bez uprzedzenia. Gdy zapukałam do drzwi ,myślał, że to jego lokaj, John i powiedział głośno: proszę, nie podnosząc oczu. Zatrzymałam się na chwilę w progu, by mu się przypatrzyć. Siedział przy biurku, tyłem do wejścia. Czytał, być może, gdyż głowę miał trochę pochyloną i światło lampy oświetlało jego wspaniałą, czarną czupryne...

Zbliżyłam się cichuteńko i po raz pierwszy odkąd żyjemy ze sobą, ośmieliłam się zarzucić mu ręce na szyję i ucałować go w oczy z dziecinnym wybuchem. Widocznie ogarnęło go słodkie zdumienie, gdyż otworzył mi ramiona, wydając krótki okrzyk zdziwienia, i przytulił mnie całą do swej silnej piersi, pokrywając mnóstwem pocałunków i przemawiając czule, powoli, słodkim tonem, pełnym uczucia:

— Giannino, Giannino! moja najdroższa Giannino!...

Och, co za rozkoszny wieczór!... nikt z nas nie wspomniał o smutku ,jaki napełniał nas oboje: bo poco? przy nim nie czułam go już wcale, nie bałam się już niczego! Dlaczego miałabym mącić radość tej słodkiej chwili? Herbercie mój, jakże cię kocham!...

Dziś rano znów, żegnając się przed wyruszeniem na polowanie, popatrzył na mnie bardzo czule; w jego oczach dobrych i łagodnych malowała się jeszcze cała rozkosz naszego drogiego wieczoru.

— Chciałabym znowu być tylko z tobą — szepnęłam mu.

To zdanie musiało w nim obudzić wspomnienie smutnej rzeczywistości obecnej, gdyż zobaczyłam, jak zagrała na jego twarzy radość sprzed chwili i rzekł do mnie cicho:

— Bądź dobrą, pamiętaj i kochaj mnie!...

Być dobrą? Czyż on mógłby wątpić we mnie? O Panie, oddal ode mnie tę karę!...

Mój biedny Lorenzo wcale nie czuje się dobrze, a ja, na nieszczęście, nie mogę być ciągle z nim, tak, jakbym chciała. Tak, cierpię bardzo i on również. Patrzy na mnie zawsze bardzo smutnymi oczyma, jakby chował żal do mnie.

— Nie kochasz mnie już więcej — mówi do mnie często, gdy siedzę obok niego.

— To nieprawda, Lorenzo. Myślę o tobie cały dzień i widzisz dobrze, że spędzam z tobą wszystkie wolne chwile!

— Kiedy stąd wszyscy odjadą? — pyta mnie równie często.

— Miejmy nadzieję, że niedługo, skarbie. Wtedy zobaczysz, jakie piękne przechadzki znów będziemy odbywali. — On się uśmiecha, dziękując mi.

Sir Tomasz Blind często dotrzymuje mu towarzystwa. To dzielny chłopiec, ten sir Blind. Zdaje się, że jego namiętność dla lady Moore, uspokoiła się trochę. Widząc, że go nie chcą, pogodził się z tym i po porażce miłosnej pociesza się adoracją Diany, zresztą bardzo dobrze wynagradzaną... Je jak wilk, co mnie zawsze rozśmiesza, a Daisy bardzo bawi.

To małe „enfant terrible" obserwuje go stale przy stole w niepokojący sposób; ja siedzę, jak na rozżarzonych węglach, bo boję się zawsze jakiejś jej zbyt przenikliwej uwagi. I nie bez racji boję się; wczoraj właśnie wniesiono na stół półmisek z dosyć skąpą ilością tordi (ptaków); Daisy wykrzyknęła z ubolewania:

— O mamo, tak mało? To zaledwie wystarczy dla sir Tomasza!...

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, który wniósł trochę humoru przy stole. Sir Tomasz, ze swym jowialnym usposobieniem, śmiał się również i bardzo dowcipnie przyznał słuszność małej.

— Brawo Daisy, masz rację! Gdy potrawa jest dobra, powinna być obfita!

Nawet Lorenzo poweselał.

Och, cóżbym dała za to, by zawsze między nami panowała taka szczera serdeczność. Dzieci są moją pociechą. Baby również jest taka milutka, prawdziwy kociak. Ona sama napełnia Lynn-Castle swoją zgiełkliwą żywością. Cały dzień słyszy się ją wszędzie. Z początku przestraszał ją tatuś, wracający w zabłoconych butach, otoczony swymi strasznymi psami, ale teraz przyzwyczaiła się i do tego i nie boi się już niczego.

9 grudzień.

Nie, moja biedna mamo, nie oprę się dłużej tym cierpieniom, nie mogę już dłużej wytrzymać i nie wiem, jaką drogę obrać, by wyzwolić się od tej zmory, teraz już bezustannej. Miałam nadzieję, że na skutek gróźb lady Moore, sir Jerzy zostawi mnie w spokoju, przynajmniej z obawy. Tymczasem spokój trwał zaledwie tydzień.

Lady Moore była zmuszona przez dwa dni pozostać w łóżku i te dwa dni były dla mnie torturą; gdy, czyniąc zadość obowiązkowi, wychodziłam do jej pokoju, by się dowiedzieć, jak się czuje, natychmiast sir Jerzy doganiał mnie pod pretekstem odwiedzenia jej. Czekał na mnie w połowie schodów i musiałam zejść z nim razem i narażać się na spojrzenia wszystkich oczu, zwróconych na nas, gdy wchodziliśmy do salonu, a przede wszystkim widzieć raptowne zachmurzoną twarz mego męża, wpatrzonego we mnie z wyrazem bólu. Potem znów w salonie, nie opuszczał mnie ani na chwilę, mięszał się do naszej rozmowy, zwracając się ustawicznie do mnie, wpatrując się bez względu na osoby obecne, jednym słowem, wynagradzając sobie tych kilka dni posłuszeństwa, narzuconego mu przez lady Moore. Kiedyż skończy się ta męka?

10 grudzień.

Niestety, zamiast skończyć się, stała się jeszcze nieznośniejszą i oto nastąpiła katastrofa!

Dzisiaj wieczór padał gęsty deszcz i w salonie panowała głęboka nuda, której ani muzyka, ani śpiew nie zdołały rozpròszyć. Naraz mała mistress Whits zauważyła w rogu Daisy i Essie, które pisały coś, siedząc przy malutkim stoliczku.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 12 września 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.30 Regionalna transmisja z Chełmna a) Pieśni Ludowe, b) Uroczyste nabożeństwo z Katedry 12.03 Radosny poranek — koncert z płyt 13.10 Gdy zadźwięczą mandoliny — koncert popularny 14.10 Transmisja fragmentu „Dożynek" z folw. „Barki" pow. wileńsko-trockiego 14.40 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.00 „Zapraszamy do Łazienek" — koncert Orkiestry Symfonicznej P. R. i Małej Orkiestry P.R. 19.00 Wznowienie słuchowiska pt. „Wielka wygrana" 19.20 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego 20.05 Wiązanka melodii Fr. Lehara. Transmisja z Wiednia 21.00 „Diabeł w zalotach — czyli podróż diabła na wesele" — wesoła audycja ze Lwowa 22.00 Recital śpiewaczy Sergiusza Gagarina.

Poniedziałek, dnia 13 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Ludwik van Beethoven: Sonata As-Dur op. 110 12.25 Edwarld Grieg: dwa utwory 12.40 „Od warsztatu do warsztatu" 16.15 Koncert orkiestry Filharmonii Warszawskiej z Ciechocinka 16.45 Lwów na szlaku czarnomorsko-bałtyckim — odczyt 17.00 „Papa Franck" — reportaż muzyczny 18.15 Wyjątki z baletu (płyty) 19.00 Audycja strzelecka 20.00 „Przy winku" — koncert rozrywkowy 21.45 „Ogniwa" opowiadanie Elizy Orzeszkowej 22.00 Pieśni polskie w wykonaniu Mieczysława Saleckiego 22.20 Henryk Melcer: Trio fortepianowe op. 2.

Wtorek, dnia 14 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 12.25 Koncert Ork. Filharm. Warsz. z Ciechocinka 16.00 Rzeczy ciekawe z pięciu części świata — aud. dla dzieci 16.20 Franciszek Schubert: 6 Moments musicaux op. 96 16.45 „W największym parku Polski" —felieton 17.00 Koncert solistów 18.15 Z oper jazzowych Kreneka i Weilla (płyty) 19.00 Niezawodny środek — skecz 19.15 Koncert kameralny 20.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P.R. 20.40 Reportaż ze Zjazdu młodzieży rzemieślniczej 21.00 „Don Carlos" — opera. Transmisja z Rzymu 22.00 „Ogniwa" 9 opowiadanie Elizy Orzeszkowej.

Środa, dnia 15 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Franciszek Liszt (płyty) 12.25 Koncert Orkiestry salonowej z Łodzi 16.00 Różne warsztaty pisarskie — szkic literacki 16.15 Na polską nutę — koncert popularny. Transmiisja z pawilonu radiowego na Targach Wschodnich 16.45 „Oddziały partyzanckie na Wileńszczyźnie w r. 1919 — odczyt 17.00 Koncert Orkiestry Filharmonii Warszawskiej z Ciechocinka 17.50 Sztuczna guma — pogadanka 18.15 Przy akompaniamencie gitary (płyty) 21.00 Recital chopinowski w wyk. Henryka Sztompki 21.45 „Ogniwa" — opowiadanie Elizy Orzeszkowej 22.00 Wieczorny koncert muzyki lekkiej pod dyr. Fitelberga.

Czwartek, dnia 16 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Muzyka z płyt 12.25 Koncert Orkiestry Wojskowej 16.15 Utwory na dwa fortepiany 16.45 „Niewidomi, którzy widzą — reportaż z Lasek 17.00 Z wesołą piosenką przez Targi — koncert rozrywkowy — Transm. z Pawilonu Radiowego na Targach Wschodnich 18.15 Wiązanki na organach Wurlitzera (płyty) 19.00 „Kasper Karliński" — dramat Wł. Syrokomli 20.00 „Rok 1885 — najnowsze tańce" — w wyk. Małej Ork. 1.05 „Rok 1937 — najnowsze tańce" — w wyk. Małej Ork. 21.45 „Ogniwa" — opowiadanie Elizy Orzeszczowej 22.00 Recital śpiewaczy Luby Lewickiej 22.30 Aleksander Tansmann: Suita Divertissants (płyty).

Piątek, dnia 17 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Gra Arnold Foedessy — wiolenczela (płyty) 12.25 Koncert w wyk. Orkiestry Wileńskiej. Transmisja z Wystawy Radiowej w Wilnie 16.15 Muzyka salonowa 16.45 Życie jak przed dwudziestu wiekami — reportaż 17.00 Koncert Ork. P.R. pod dyr. Z. Godlewskiej 18.15 Japońskie motywy (płyty) 19.00 Koncert solistów 20.00 „Z operetek" — koncert rozrywkowy 21.45 „Książę poetów" — kwadrans poetycki 22.00 Recital skrzypcowy Feliksa Eyle 22.25 Pieśni Carmencity (hiszpańskie pieśni ludowe).

Sobota, dnia 18 września 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Polonezy (płyty) 12.25 Koncert orkiestry wojskowej 16.00 „I my też urządzamy koncert" — aud. w wyk. zespołu dziecięcego (z Wystawy Radiowej w Wilnie) 16.30 Sonaty na wiolonczelę i fortepian 17.10 Suity Czajkowskiego i Sibeliusa — koncert 17.50 W zamku Zawiszy Czarnego — pogadanka 18.15 Piosenki filmowe 19.00 „Górnik i hutnik w pieśni" — aud. słowno-muzyczna 20.00 „Byli i będą" — audycja dla Polaków zagranicą 21.05 Koncert rozrywkowy

HUMOR

CHCE MIEĆ SPOKÓJ

— Czy nie mógłbym otrzymać, tak jak inni goście w tym pensjonacie, na przeciąg godziny kluczyka od fortepianu?

— Ależ owszem. O którym czasie chciałby pan go mieć?

— Najlepiej między godziną drugą a trzecią, ażebym mógł spokojnie przedrzemnąć się po obiedzie.

W JAKI SPOSÓB?

— Wiesz, co mnie najwięcej zadziwia w astronomii?

— Zapewne drobiazgowa dokładność, z jaką uczeni obliczyli wielkość planet i ich odległość od ziemi?

— Nie to. Zadziwia mnie, jakim sposobem dowiedzieli się nazwiska każdej planety.

DOBRY KUPIEC

— Panie, jeśli nie płaci pan za dostarczone wino, niechże pan choć zwróci mi puste butelki!

— Dobrze, ile pan daje za sztukę?

SPORT

Pan Zyskind poszedł z synkiem do ogrodu. Sam usiadł na ławce, by przeczytać gazetę, synek zaś zaczął się bawić z kolegami.

Po chwili papa zobaczył, że jego jedynak pobił się ze swymi rówieśnikami.

— Zaraz pójdziesz do domu — zawołał oburzony ojciec. Jednak po chwili, przeglądając gazetę przeczytał, że w Ameryce Busowi zapłacono 20.000 tysięcy dolarów za mecz bokserski.

— Dwadzieścia tysięcy! — dziwił się Zyskind senior.

— Samuś! Czego ty tu siedzisz? Idź boksuj się dalej.

ZŁOTE MYŚLI O SAKSOFONIE

Wyobraźmy sobie, że jest to fajka niemieckiego Fritza, który zamiast dymu, puszcza pod sufit kłęby basowych tonów.

* * *

Saksofon przypomina mi ogród zoologiczny, a ściślej rzeczy biorąc — małe słoniątko, które wyciąga trąbę po kawałek cukru.

* * *

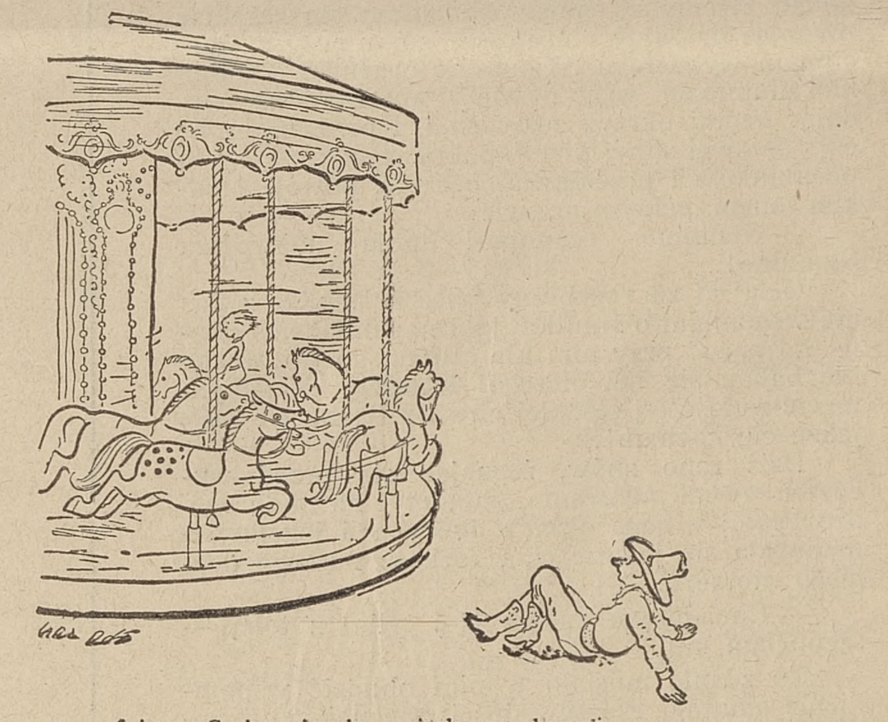
Przypomina też ośmiornicę, raczej jedno z jej ramion usiane brodawkami.

* * *

Co za piękne bańki mydlane możnaby puszczać przy pomocy takiego saksofonu!

* * *

Śpiewa dobrze, ale ma nos zatkany. Zajdzie konieczność wycięcia mu polipów.



Świetny Cowboy i pechowa jazda na karuzeli...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1